Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 323 Wtorek 25 grudnia 1934 r. Rocznik XLIII

Redakcja i Administracja
Warszawa
ul. Warecka 7—Tel. 5.06.70

Kraków
ul. Dunajewskiego 5
Telefon 103.10

NAPRZÓD

ORGAN POLSKIEJ PARTJI SOCJALISTYCZNEJ
WYCHODZI CODZIENNIE RANO

Cena 15 groszy za numer
Miesięcznie złotych 3·50
Zagranicą 6 złotych
Konto PKO w Warszawie Nr. 29.129

TOWARZYSZE ROZPOWSZECHNIAJCIE „NAPRZÓD", JEDYNY MIEJSCOWY DZIENNIK OPOZYCYJNY!

Którzy idziemy...

Katastrofa Socjalnej Demokracji Niemiec była wstrząsem ogromnym dla całego ruchu socjalistycznego. Rozczarowanie i zniechęcenie jęły czynić spustoszenia w szeregach; zaczęło się wytykanie błędów, szukanie winowajców; zaczęły się rekryminacje i oskarżenia. Rozczarowanie i zniechęcenie — to najwięksi wrogowie każdej walki. Z trudem ruch zdołał opanować tę „psychologję po klęsce".

Rewolucja lutowa Austrji przeszła w zupełnie innej atmosferze. „Schutzbund" przegrał, ale przegrał w otwartym boju z bronią w ręce. Wspaniała karta bohaterstwa młodzieży robotniczej rzucona została na szalę historji. Jeszcze skrzypiały w Wiedniu i w Linzu szubienice, a już legenda docierała do najdalszych zakątków ziemi.

Później przeżyliśmy Rewolucję hiszpańską. Zacięty opór górników Asturji zdziwił i napełnił szacunkiem nawet dowódców wojsk przeciwnych. I teraz — po szeregu tygodni — minister spraw wewnętrznych Rządu Lerroux musiał stwierdzić z trybuny Kortezów, że „rewoltę zbrojną zgnieciono, zato Rewolucja nie umarła w nastrojach i w oczekiwaniach mas".

Robota nielegalna w Austrji dźwignęła się w tempie imponującem; jej technika wprawia w podziw kierowników wiedeńskiej policji politycznej. Robota nielegalna w Niemczech, prowadzona w warunkach nieopisanie trudnych, ruszyła jednak tak samo z miejsca. Prąd faszystowski zawładnął wprawdzie wielu krajami Europy Środkowej i Południowej, ale stanął bezsilny wobec faktu, tyle razy potwierdzonego przez dzieje, — że można złamać przemocą organizacje legalne, można zabijać powoli setki osób w obozach koncentracyjnych, można budować dowoli las szubienic, ale żadna moc ludzka, żadna dyktatura nie potrafią nigdy zniszczyć ruchu, tkwiącego swemi korzeniami w żywych, rzeczywistych potrzebach, — w żywych, rzeczywistych tęsknotach mas.

***

Popełnilibyśmy wielki błąd, gdyby zwycięstwo polityczne faszyzmu w Niemczech, w Austrji, czy gdziekolwiekbądźindziej zaciemniło nam istotną perspektywę historyczną.

Prąd faszystowski odniósł szereg tryumfów, — to prawda. Idzie jednak poprzez świat PRĄD PRZECIWSTAWNY, tak samo przez liczne narody. W Wielkiej Brytanji socjalistyczna Partja Pracy rośnie dosłownie niby lawina; zdobyła dla siebie masy drobnomieszczaństwa i pracowników umysłowych, zagarnęła prawie cały spadek po liberałach, maszeruje po władzę twardo, mocno, nieugięcie. Faszystowskie próby lorda Mosleya zostały faktycznie przełamane. W krajach Skandynawji Socjalna Demokracja ocaliła i utrwala z każdym miesiącem demokratyczny ustrój państw, steruje losami Szwecji i Danji. W Holandji trwa demokracja polityczna. W Belgji Socjalizm znajduje się w ofensywie; „ulica" odrzuciła precz wzbierającą przed rokiem propagandę faszystowską. We Francji front robotniczy nie pękł, a opinja publiczna społeczeństwa, miłującego wolność i rozumiejącego potrzebę wolności, zwraca się coraz potężniej przeciwko ośrodkom faszystowskim, jak „narodowi kombatanci", naprzykład, którzy spełniają dziwną rolę przedstawicieli ideologji i polityki — nawet zagranicznej — hitleryzmu na gruncie francuskim.

***

Treścią polityczną dzisiejszego okresu dziejów jest bój decydujący pomiędzy Socjalizmem a faszyzmem. Rozstrzygnięcie zależy od tego, kto potrafi dźwignąć i poprowadzić miljonowe masy włościańskie i zdeklasowane, bezrobotne i wszelkie „pośrednie", — całą kolosalną masę ludzi, rozgoryczonych i wściekłych, znużonych śmiertelnie i pragnących zmiany, zmiany za wszelką cenę.

W Niemczech poszły te masy narazie za Hitlerem. Gdybyśmy zdążyli skupić je w porę pod czerwonym sztandarem, — sytuacja wyglądałaby inaczej!... Socjalistyczna klasa robotnicza, świadoma swej roli dziejowej, silna organizacją i tradycją własnych walk, A STOJĄCA W PIERWSZYM SZEREGU OWYCH NIEZLICZONYCH MILJONÓW — to zwycięstwo.

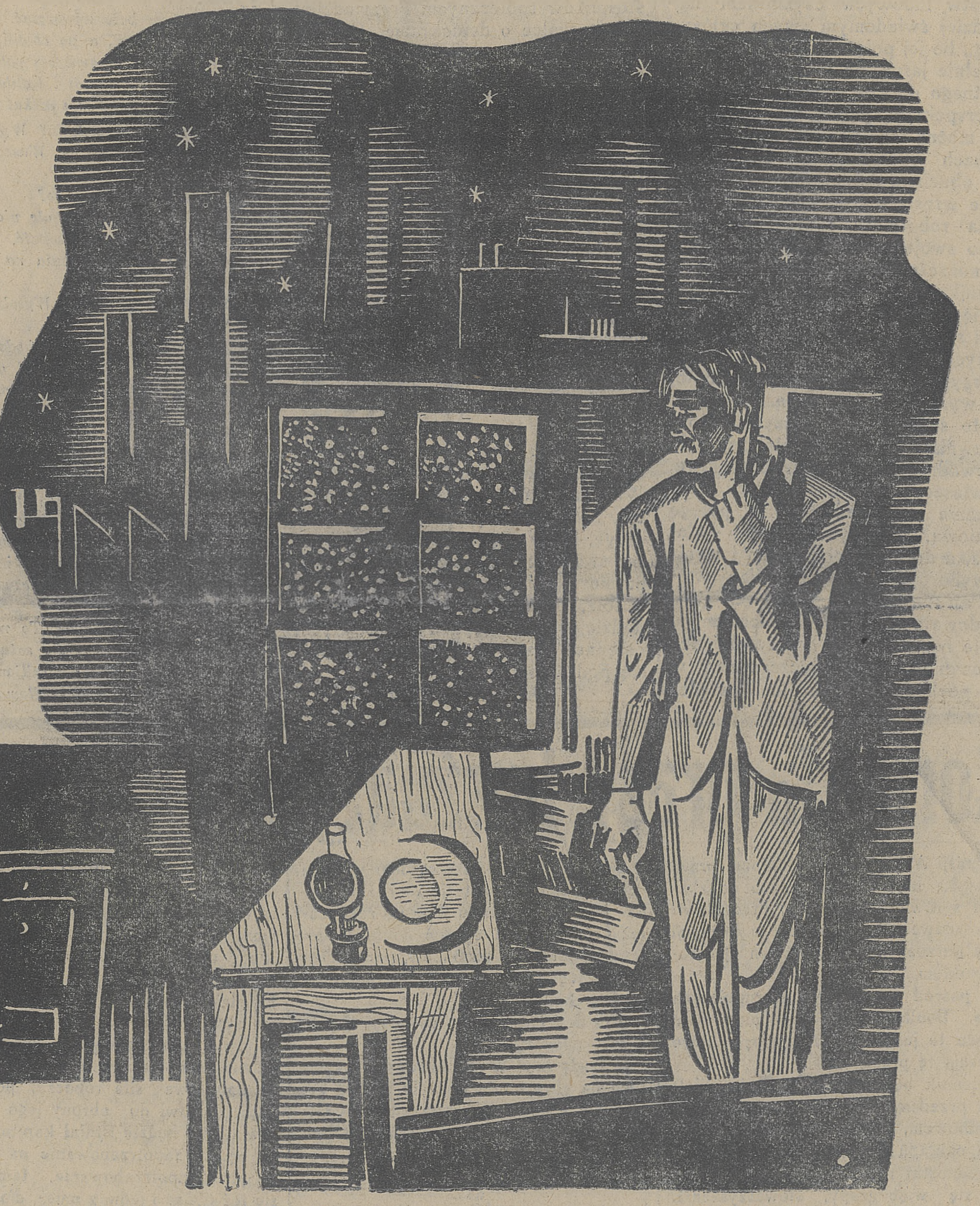
***

„Szary człowiek" ulicy, ten, który nie jest robotnikiem pracującym, poszedł w Berlinie za Hitlerem. W Londynie i w Brukseli ruszył za Socjalizmem. „Szary człowiek" szuka... Dławią go ból i gniew. Ma silne mięśnie, ale brak dla niego miejsca w fabryce. Ma dyplom w kieszeni, ale zabrakło dla niego miejsca w biurze, w szkole, w zawodach wolnych. Ma wolę i ma zdolności, ale nikt nie wyciąga po nie dłoni. Ów „szary człowiek" bez pracy i bez nadziei, fornal, wygnany na rozstajne drogi, metalowiec, bezrobotny od lat, chłop, przybity aż do ziemi ciężarem podatków i długów, urzędnik zdeklasowany ponad wszelką miarę, — to właśnie wszystko razem legendarny „kamień przydrożny", o który potknął się ostatecznie „gasnący świat". „Szary człowiek" poszedł tam i owdzie za faszyzmem. Faszyzm MUSI go zawieść. BO W RAMACH KAPITALIZMU NIEMA OCALENIA.

***

Jutro jest nasze, jeżeli potrafimy dać masom to, czego one dziś słusznie od wszystkich wymagają. „Szary człowiek" wie doskonale, że cała nasza krytyka kapitalizmu i faszyzmu odpowiada prawdzie. „Szary człowiek" często wierzy w piękno i w wielkość naszego CELU. Ale „szary człowiek" chce widzieć DROGĘ, która do celu prowadzi. Chce i ma prawo wiedzieć, że my ZDOŁAMY cel osiągnąć. Domaga się od nas PLANU PRZEBUDOWY. Pod znakiem PLANU rozpoczynamy rok nowy. Ruch żywy musi odpowiedzieć na pytanie, tkwiące w mózgu i w sercu mas. Zrozumiał to dobrze ostatni Kongres Polskiej Partji Socjalistycznej. Kongres przyszłoroczny dokona pracy, gdy będzie mógł rzucić w masy NOWY PROGRAM, dostosowany do nowych warunków, i PLAN PRZEBUDOWY rzeczywistości polskiej.

MIECZYSŁAW NIEDZIAŁKOWSKI.



Wszystkim tym, którzy pracują i walczą,
wszystkim tym, którzy pozostali wierni w warunkach najtrudniejszych,
tym, co nie zgięli karku i nie sprzedali Idei przesyłamy
dziś pozdrowienia i słowa głębokiej wiary, ze ziści się
zapowiedź naszej pieśni:

„ruszymy z posad bryłę świata,
dziś niczem, jutro--wszystkiem my!..."

W Z.S.S.R.
Dalsza kampanja przeciw Zinowjewowi

Cała prasa sowiecka reaguje niezwykle ostro na wiadomość o wykryciu grupy terorystycznej. Prasa daje wyraz swemu największemu oburzeniu pod adresem „zinowjeewowców", zarzucając im bezideowość, karjerowiczostwo współdziałanie z wewnętrznymi oraz zagranicznymi wrogami Sowietów, i zapowiada bezlitosną z nimi rozprawę.

Leitmotivem wszystkich artykułów jest, że wszelka opozycja prowadzi do obozu kontrrewolucji, lecz, że obecne wypadki nie wytrącą Sowietów z równowagi. (PAT.).

***

„Daily Express" donosi, że Stalin zamierza zaostrzyć kurs nietylko w stosunku do zwolenników Zinowjewa, lecz również Trockiego, przez którego działalność zagranicą czuje się zagrożony. Dziennik donosi, że w związku z tem Stalin zamierza zwrócić się do Rządu francuskiego o wydalenie Trockiego z terytorjum Francji. (ATE.).

Ciężki wypadek w kopalni: 2 ofiary

W podziemiach kopalni „Św. Jacek" w Chorzowie, należącej do Skarbofermu, zajęci przy spinaniu wagonetek dwaj robotnicy: 26-letni Kazimierz Flitowski i 24-letni Alfred Detmar dostali się między 2 lokomotywki i doznali tak ciężkich obrażeń, że Detmar zmarł w parę godzin później, Flitowski zaś walczy ze śmiercią.

NASTĘPNY NUMER NASZEGO PISMA UKAŻE SIĘ W DN. 27 GRUDNIA, T. J. WE CZWARTEK.

Konfiskata

Wczorajszy nasz numer uległ konfiskacie za artykuł, zamieszczony na str. 3. Tytuł artykułu został tak samo skonfiskowany.

Przewodnia rola klasy robotniczej

Metody życia politycznego epoki parlamentarno - demokratycznej wytwarzają czasem pewne złudzenia. Z natury rzeczy sprowadzają one różne zjawiska do wspólnego mianownika liczbowego. Następuje niwelacja czynników o różnolitej wartości dynamicznej, o różnych możliwościach potencjalnych, o szerokiej rozpiętości pod względem znaczenia politycznego.

W dobach przełomowych jednak, w epokach o pewnych tendencjach rewolucyjnych, prądy polityczne przedzierają się przez tamy wykazów statystycznych i liczbowych wyników wyborczych. W miejsce równowagi cyfrowej powstaje nowa równowaga, oparta na istotnym stosunku sił.

W czasie wielkiej rewolucji francuskiej rewolucyjnemu Paryżowi przypadła olbrzymia rola, nie stojąca w żadnej proporcji do jego znaczenia ilościowego. Mimo wprowadzenia demokratycznych metod wyborczych, dopuszczających do wpływu politycznego cały kraj, z istoty ówczesnej sytuacji zaczęła się wytwarzać dyktatura Paryża. W pewnym momencie rewolucji, gdy żyrondyści, mający głównie oparcie na prowincji, znaleźli się w ostrym sporze politycznym z jakóbinami, którzy czerpali swą siłę w pierwszym rzędzie z Paryża, została rzucona zasada równowagi ilościowej. Francja ówczesna była podzielona na 80 departamentów. Żyrondyści zaczęli więc wołać: trzeba Paryż sprowadzić do jednej osiemdziesiątej wpływów politycznych. Nie udało im się tego przeprowadzić. Żądanie to było bowiem sprzeczne z logiką ówczesnej sytuacji politycznej. Paryż, który mógł śmiało uważać rewolucję za swoje dzieło, który zdobył Bastylję, który pomaszerował do Wersalu po króla, który zdobył Tulerje, który trzymał w matni Zgromadzenie Narodowe, Zgromadzenie Prawodawcze i Konwent, Paryż nie mógł spaść do roli, wynikającej z samej tylko jego siły liczbowej. O znaczeniu Paryża decydowała jego dynamika rewolucyjna, jego aktywność, jego intensywność rewolucyjna.

Podobnie przedstawia się zagadnienie roli klasy robotniczej. Systemy polityczne poprzedzające demokrację parlamentarną były niewątpliwie wysoce krzywdzące. Sprowadzały one klasę robotniczą do wpływu politycznego znacznie mniejszego, aniżeli wynikało to z jej siły liczbowej. Demokracja parlamentarna była krokiem naprzód, wprowadziła bowiem miernik liczbowy. Niemniej klasa robotnicza nie miała faktycznej możliwości osiągnięcia teoretycznie jej przyznanego wskaźnika cyfrowego wpływów politycznych. Demokracja polityczna bowiem przy istnieniu przywilejów społecznych nie może się w pełni rozwinąć. Potęga ekonomiczna klasy posiadającej powiększa znakomicie jej nikłą siłę liczebną. Automatycznie pomniejsza to siłę klasy robotniczej. Nacisk ekonomiczny, przeszkody stawianie rozwojowi świadomości robotniczej, utrudniają klasie robotniczej zrealizowanie swego wpływu liczebnego.

Gdyby jednak demokracja polityczna dała się nawet urzeczywistnić całkowicie i gdyby świat pracy istotnie uzyskał to znaczenie polityczne, jakie mu przypada z tytułu jego siły liczebnej, nie byłoby to jeszcze rozstrzygnięciem rzeczy. Byłby to postęp w porównaniu ze stanem poprzednim, ale nie byłoby to jeszcze odźwierciadleniem proporcji sił istniejącej w rzeczywistym układzie stosunków.

W wielkim procesie rozwoju społecznego, klasa robotnicza odgrywa bowiem rolę znacznie większą od swej siły liczebnej. Ta rola wynika z samego jej położenia społecznego. Po pierwsze klasa robotnicza spośród warstw ludowych jest klasą najbardziej skupioną. Same warunki pracy ułatwiają jej organizowanie się i uświadamianie się. Po drugie jest ona grupą społeczną najbardziej postępową, bo ma najwięcej do zdobycia i najmniej do stracenia. Po trzecie jest warstwą najbardziej rewolucyjną, bo wieczna niepewność bytu, brak wszelkiego zabezpieczenia wobec grożących jej wciąż katastrof ekonomicznych, rozszerzająca się i pogłębiająca się wciąż przepaść między rosnącemi jej potrzebami, a malejącą możnością ich zaspokojenia, rewolucjonizują ją coraz więcej i czynią ją czynnikiem coraz bardziej aktywnym, coraz bardziej wybuchowym. Po czwarte jest ona spośród warstw ludowych czynnikiem najbardziej świadomym swych celów i dróg, bo jej położenie społeczne jest zupełnie jasne, bo nic nie zaciemnia istotnego obrazu warunków jej bytu i perspektyw przed nią stojących. Nie można tego powiedzieć o innych grupach społecznych, cierpiących pod obuchem dzisiejszego ustroju. Po piąte wreszcie stwierdzić należy, że klasa robotnicza reprezentuje nie tylko swoje klasowe interesy, ale równocześnie reprezentuje tendencje nieuniknionego rozwoju społecznego, a więc interesy ogólne, interesy całości społeczeństwa, a w szczególności tych wszystkich warstw, które są pokrzywdzone i które klasa robotnicza wyzwoli wraz z sobą.

Oto są główne przyczyny, które zapewniają klasie robotniczej rolę przewodnią w życiu społeczeństwa, a zwłaszcza w jego walkach, rolę znacznie wyprzedzającą jej potęgę ilościową. Statystyka zawodo - klasowa, a do pewnego stopnia i wyniki wyborcze, mogłyby odbijać istotny stan rzeczy, gdyby społeczeństwo znajdowało się w stanie biernym, w stanie bezruchu. Ale mamy przecież do czynienia ze społeczeństwem w jego pochodzie społecznym, świadomość nasza chwyta je w ruchu, a często nawet w biegu. Stosunek sił społecznych określa się zatem nie tylko statystyką cyfrową, którą można uznać najwyżej za jeden z czynników, ale także czynnikami potencjalnemi, t. zn. możliwościami, które w danej warstwie tkwią, i czynnikami dynamicznemi, t. zn. wyładowaniem tych możliwości, t. zn. energją, aktywnością, które ta warstwa wykazuje. I im więcej społeczeństwo jest w ruchu, im szybszym jest proces rozwoju społeczenego, tem większe znaczenie przypada tym właśnie czynnikom.

Klasa robotnicza w Polsce ma już za sobą długą tradycję odgrywania owej roli przewodniej w społeczeństwie. Odgrywała ją w epoce walk o niepodległość, kiedy wysunęła się daleko naprzód przed innemi warstwami. Odgrywała ją w okresie demokratyczno - parlamentarnym niepodległej Polski. W Sejmach Rzeczypospolitej przedstawicielom klasy robotniczej przypadła rola znacznie większa, niż wynikało to z układu stosunków społecznych. Przewodziła ona w walce o demokrację. Gdy w krajach innych, o podobnej strukturze, kierownictwo w tej walce leżało w rękach stronnictw chłopskich lub radykalnej inteligencji, w Polsce przypadło ono w udziale klasie robotniczej. W okresie walki z faszyzmem i zakusami dyktatorskimi również klasa robotnicza wzięła w swe ręce ster. Tembardziej więc teraz, w okresie dojrzewających warunków przewrotu społecznego, musi ona właśnie przewodzić. Z labiryntu, w który ludzkość zabrnęła, ona jedna zna wyjście. I dlatego wszyscy, którzy w dzisiejszej rzeczywistości cierpią, którzy upadają pod brzemieniem ciężkich warunków, nie mają innego wyjścia, jak stanąć pod przewodem proletarjatu. Żyjemy w okresie, w którym wszyscy poszukują wodza. Wodzem, który ma jasny, określony cel, który ma wyraźną, niezawodną drogę, który poprowadzi walkę o nowy świata porządek, jest klasa robotnicza. Ci wszyscy, którzy stracili busolę, którzy zabłąkali się po beznadziejnych wertepach i wyboistych ostępach faszyzmu, muszą dostać się pod jej sztandary.

Dr. ADAM PRÓCHNIK.

Mały felieton

Herod usprawnia administrację

Herod siedział przy biurku i przerzucał rane dzienniki.

Na twarzy jego malowała się bezgraniczna nuda.

Odłożył dzienniki, wstał rozprostował członki i głośno ziewnął.

— Nuda, przeklęta nuda!! — rzekł do siebie — i ta prasa, rządowa prasa! Nudna, nie ciekawa. A kosztuje to!

Namiestnik wyjrzał przez okno.

— Też mi wybrali kraj! Ludzie mi zazdrościli, że karjerę robię, a to jest poprostu banicja, zesłanie. Ani z kim zabawić się, ani do kogo przemówić. Wieczorem kładź się spać razem z kurami, ani dancingu, ani kabaretu, ani żadnego porządnego lokalu. Rzym!! Oto mi miasto! Chyba nigdy go już nie ujrzę, bo umrę tu z nudów.

Spojrzał na zegarek. Nadchodziła godzina przyjęć. Herod przejrzał się w lustrze i zauważył, że znowu przytył. Poprawił na sobie mundur i nacisnął dzwonek elektryczny.

Wszedł sekretarz.

— Dużo ich tam w poczekalni? — zapytał sekretarza.

— Są panowie z raportami i jest trochę ludzi.

— Niech pan każe wpuszczać.

Sekretarz wyszedł, a po chwili w gabinecie namiestnika pojawił się poborca podatków w Judei, Samarji i Galilei. Skłonił się nisko przed Herodem i czekał wskazań.

— No jakże tam podatki? Wpływają?

— Skąpo, bardzo skąpo, Wasza Wysokość.

— Nie chcą płacić, czy co?

— Chcą Wasza Wysokość, ale nie mają z czego. Kryzys, Wasza Wysokość.

— A powtórne upomnienia na zapłacone podatki rozesłaliści?

— Rozesłaliśmy, Wasza Wysokość.

— No i jakiż wynik?

— Z początku jeszcze przychodzili i płacili, ale gdy ten i ów podniósł gwałt, że żądamy powtórnie, to teraz są ostrożni i skrupulatnie sprawdzają nakazy płatnicze.

— Sprawdzają! Za mądrzy są, a jeszcze więcej szkół im się zachciewa. Głupstwo Rzym zrobił, że wprowadził szkolnictwo powszechne. A mówiłem, a uprzedzałem, że niedobrze panować nad oświeconym narodem. Sprawdzają nakazy! Jakby nie umieli czytać, toby nie sprawdzali nakazów i płacili drugi raz i trzeci i czwarty. A Rzym nalega: pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy. Rzym chce się bawić. To należy do reprezentacji. Zbliżają się saturnalje i Rzym zażądał odemnie pół miljona szekelów. A pan wie, co znaczy Roma locuta? Rzym kazał, to niema żadnego gadania i sam święty Boże, nie pomoże. A zatem niech pan naciśnie śrubę podatkową. Rozumie pan? Żegnam pana.

Poborca podatków w trzech prowincjach wyszedł, a miejsce jego zajął szef bezpieczeństwa.

— Co nowego? — zapytał Herod.

— Wszystko w porządku, Wasza Wysokość.

— A tę stajenkę, gdzie się ma urodzić ten przyszły, rewolucjonista, ten król żydowski, już wytropiliści?

— Jeszcze nie, Wasza Wysokość.

— To pan, to nazywa, że wszystko w porządku? Co wy robicie całemi dniami? Tyle mnie to pieniędzy kosztuje i żadnego pożytku z was nie mam.

— Zakonspirowali się, Wasza Wysokość.

— Kto zakonspirował się? Kobiety zakonspirowały się? W konspiracji rodzą, czy co? Straszyć mnie zamachami, niebyłe spiski odkrywać,

„pieniądze brać — to potraficie, a odszukać jednego niemowlęcia nie umiecie. Żebyście mi w ciągu 3 dni odszukali, bo inaczej na cztery wiatry wszystkich przepędzę. Zrozumiano?

— Rozkaz, Wasza Wysokość. My według rozkazu regulujemy urodzenia.

— Jak wy to regulujecie?

— Ano, Wasza Wysokość, jak urodzi kobieta partyjna, to my zarzynamy niewiniątko, a jak rodzi kobieta należąca do naszych organizacyj, to zostawiamy bachora przy życiu.

Herod parsknął śmiechem .

— Powarjowały baby, czy co,

— Na protektorki, Wasza Wysokość. A teraz otrzymaliśmy poufną wiadomość, że będziemy mieli wkrótce wizytę trzech monarchów...

— Cóż Trzech monarchów! Któż to tacy? Czy to tylko pewne wiadomości? Nasze M. S. Z. ani nasz protokuł dyplomatyczny nic o tem nie wiedzą. Jeżeli to prawda, toż to niesłychany skandal.

— Pewna wiadomość, Wasza Wysokość, tylko o tyle, że wszyscy trzej monarchowie przyjeżdżają incognito. Są to Ich Królewskie Mości król Kacper, król Melchjor i król Baltazar.

Herod chwycił za telefon.

— Jeśli Wasza Wysokość chce rozmówić się z szefem protokułu, to on jest tu w poczekalni.

— Niech wejdzie.

Szef bezpieczeństwa na chwilę wyszedł z gabinetu i wrócił z szefem protokułu dyplomatycznego.

— Panie hrabio — zawołał Herod — czy pan wiesz o wizycie trzech monarchów.

— Trzech monarchów? A tak, coś słyszałem. Ale to nas nie dotyczy, bo oni przyjechali nie do nas, tylko do tego króla żydowskiego, co w Betleem się urodził.

— Jakto... urodził się?! Co znaczy przyjechali? Mów pan, bo ze skóry wyskoczę?

— Wasza Wysokość, tak jest trzej królowie bawią od wczoraj w Betleem, tylko protokuł nie wie, którzy to królowie. Natomiast wiadomo nam, że przyjechali incognito i że przywieźli dary. A ten król to już się urodził.

— To czemu ja nic o tem nie wiem, do stu piorunów! !

— Nie miałem czasu zawiadomić Waszej Wysokości. Od dwuch tygodni protokuł jest okropnie zapracowany.

— Co wy, u licha, robicie?

— Pamiętamy i reprezentujemy. Musimy pamiętać, że dziś jest święto państwowe Tyru i być na śniadaniu w poselstwie Tyru, a jutro są imieniny Faraona, a przeto obiad w ambasadzie egipskiej. Pojutrze znowu otwarcie wystawy obrazów midyjskich malarzy w midyjskiej ambasadzie i t. d. Nasza praca to pamiętać i reprezentować.

— A pan, panie szefie bezpieczeństwa, szukasz i szukasz, a tymczasem już się narodził.

— Wasza Wysokość, zaraz nadam telefonogram, by zaaresztowali.

— Mówił mi poborca podatkowy — zauważył szef protokułu — że matka z dzieciątkiem już wyjechały z Betleem.

— Co, wyjechały? Gdzie poborca?

Sprowadzono poborcę podatkowego.

— Co pan wiesz o ucieczce króla żydowskiego?

— Ano tyle, Wasza Wysokość, że z paszportów mamy dochody, a tymczasem Wasza Wysokość daje naprawo i nalewo paszporty dyplomatyczne i za takim paszportem wyjechała z dzieckiem do Egiptu ta żona cieśli.

— Żona cieśli? Czekajno pan, to ja przecież sam paszport ten podpisałem! A to ze mnie skończony...! Nie, panowie, tak dalej krajem rządzić nie można. Nikt nie nie wie o tem, co do niego należy, natomiast wiele wie z tego, co do niego nie należy Panowie, tak dalej być nie może. Zabieram się do usprawnienia administracji!

ULTIMUS.

Korupcja prasy burżuazyjnej

Komisji Ankietowej, wyłonionej przez francuską Izbę Deputowanych do zbadania sprawy Stawickiego, przedstawił rzeczoznawca Boully raport o korupcji prasy burżuazyjnej. Raport ten ogłoszono drukiem.

Z pośród czynników, korupujących prasę, Boully stawia na pierwszem miejscu te jednostki czy grupy, które finansują tę prasę.

Dziennik burżuazyjny stał się wielkiem przedsiębiorstwem przemysłowem i handlowem, którego uruchomienie wymaga nakładu dużych kapitałów. Majątek jednostki rzadko wystarcza. Składają się więc grupy, stowarzyszenia. Lecz ani jednostka, ani grupa nie bawi się w mecenasa i jeżeli daje pieniądze na dziennik, to po to, by narzucić mu swą linję polityczną. Jeżeli wpływ Stawickiego na prasę był dość ograniczony, to dlatego, że fundusze prasowe były ograniczone. Ale badania komisji Ankietowej wykazały jak potężny wpływ na prasę wywierają spółki przemysłowe i bankowe.

Z innych czynników korupcji wysuwa Boully na plan pierwszy — fundusze dyspozycyjne, zwłaszcza ministerjum spraw wewnętrznych i zagranicznych.

Boully w raporcie swym zaleca szereg środków, któreby obroniły cześć i godność dziennikarza zawodowego, a z drugiej strony kontrolowałyby działalność prasy.

Komisja Ankietowa wybrała z tych zaleceń następujące:

Statut organizacji zawodowej dziennikarskiej winien ustalić odpowiedzialność pracowników i przedsiębiorców gazet i zapewnić obu stronom należytą gwarancję np. w postaci arbitrażu z udziałem strony trzeciej.

Czytelnik winien wiedzieć, jakie są źródła finansowe dziennika, który czyta, i jakich interesów dziennik broni. W tym celu każdy dziennik winien zawierać imię swego właściciela, jednostki lub towarzystwa, przyczem kapitał zakładowy winien się składać wyłącznie z akcyj imiennych. Po każdem walnem zgromadzeniu akcjonarjuszów należy podać nazwiska zarządu. Raz do roku należy sporządzić i ogłosić dokładny bilans wydatków i dochodów, podać liczbę abonenetów i egzemplarzy, sprzedanych w handlu i t. d.

Co do funduszów dyspozycyjnych, Boully powiada:

„Zasady rządów republikańskich, opartych na głosowaniu budżetu podług artykułów i kontroli wszystkich wydatków publicznych przez parlament, nie dadzą się pogodzić z funduszami dyspozycyjnemi".

**
*

Jak widać, komisja parlamentarna do sprawy Stawickiego w pracy swej wychodzi poza zakreślone jej ramy. Ale, jeżeli komisja ma spełnić swe zadanie i odsłonić wszystkie kulisy i sprężyny afery Stawickiego, to uchylenie zasłony, kryjącej korupcję prasy burżuazyjnej, było rzeczą konieczną. Komisja zadanie swoje spełniła sumienie i dobre wystawiła sobie świadectwo.

Korupcja prasy burżuazyjnej to jedna z największych plag i nieszczęść czasów dzisiejszych. Przekupna i sprzedajna prasa burżuazyjna, rozporządzająca ogromnemi funduszami i służąca interesom tych, co tę prasę finansują, wyrządza nieobliczalne szkody. Dość wskazać na prasę, utrzymywaną przez fabrykantów i handlarzy broni, prasę, broniącą „zawodowo" wojny i zwalczającą równie zawodowo pokój i pacyfistów. Prasa ta wciąga i Boga i ojczyznę i naród i honor i t. p. w brudny a intratny geszeft międzynarodówki armat, zatruwa dusze czytelników, mobilizuje mięso armatnie dla swych chlebodawców.

Ale raport Komisji ma ten brak, że nie wymienia istotnego winowajcy korupcji prasy burżuazyjnej, t. j. samej burżuazji i ustroju, w którym ona rządzi. Zapewne, Komisja nie mogła tego uczynić, zarówno z powodu swego składu jak też włożonego na nią zadania. Temniemniej luka ta sprawia, że środki zaradcze, zalecone przez Komisję, celem walki z korupcją prasy, nie odniosą skutku. Jak można bronić godności i czci dziennikarzy pism burżuazyjnych, kiedy ustrój kapitalistyczny opiera się na potędze pieniądza, kiedy kapitalizm handluje wszystkem, co tylko przynosi mu zysk, kupuje wszystkich i wszystko, co mu w tem pomaga, a więc m. in. i dziennikarzy. Dziennikarze burżuazyjni to umysłowa siła robocza, potrzebna kapitalizmowi do obrony jego interesów i póki będzie istniał kapitalizm, póty będzie zapotrzebowanie na tę siłę. A gdzie zapotrzebowanie, tam zjawia się też podaż i jedni z musu, dla chleba, inni dobrowolnie pełnią służbę dziennikarską w prasie kapitalistycznej.

Zalecenia co do kontroli prasy i jej źródeł finansowych byłyby równie trudne do urzeczywistnienia jak kontrola innych przedsiębiorstw kapitalistycznych, o ileby je pozostawiono w ręku prywatnych właścicieli. Dzienniki burżuazyjne, jak stwierdza sam raport, są przedsiębiorstwem kapitalistycznem. Nałeżałoby tedy roztoczyć kontrolę nad **całą gospodarką kapitalistyczną**, a to równałoby się likwidacji tej gospodarki. Żaden rząd kapitalistyczny oczywiście na to nie pójdzie.

Bardziej realne są zalecenia w sprawie kontroli funduszów dyspozycyjnych. Ale i one wymagają większości parlamentarnej szczerze republikańskiej i demokratycznej, czyli w gruncie rzeczy większości — antykapitalistycznej.

Raport Boully i Komisji parlamentarnej jest znamiennem świadectwem budzącego się oporu przeciw gangrenie naszych czasów, jaką jest prasa burżuazyjna. Praktycznego jednak znaczenia raport nie bdzie miał.

Winien on wszakże pobudzić wszystkich ludzi myślących i uczciwych do unikania jak zarazy prasy burżuazyjnej.

Robotnik i pracownik zaś, czytający i kupujący prasę burżuazyjną, popełnia zbrodnię wobec siebie i klasy, do której należy. **(br.).**

Refleksje sejmowe

Przed miesiącem przeszło otwarta została sesja ciał ustawodawczych. Na porządku dziennym stoją sprawy o największem dla ludności znaczeniu: *nowa Konstytucja, budżet,* a obok tego cały szereg kwestyj, związanych z bieżącą polityką Rządu zarówno w kraju, jak i zagranicą. A mimo to nikt w społeczeństwie nie interesuje się tem, co się w Sejmie dzieje. I jakże może być inaczej w warunkach, kiedy działalność Sejmu ograniczona została wyłącznie do przebiczowywania w szalonem tempie, po kilka godzin na jeden resort, dwumiljardowych wydatków i dochodów w Państwie; jak może być inaczej, kiedy na poważne zarzuty posłów co do bieżącej polityki przedstawiciel Rządu z całym spokojem może odpowiedzieć, że na poruszone w dyskusji polityczne momenty *odpowiadać nie będzie.* Miał zupełną rację p. Wice-Marszałek Car, kiedy wobec żądania jednego z rzeczoznawców na senackiej komisji konstytucyjnej, by rozszerzyć działalność Sejmu, — odpowiedział, że przy obecnej praktyce czteromiesięczna sesja okazała się aż nadto wystarczająca.

Sejm, który nie spełnia swej funkcji ustawodawczej, który dla formy jedynie uchwala przedłożony mu budżet, nie mając ani czasu ani możności do odpowiedniego przestudjowania go,— w którym referenci budżetowi, jak napisał konserwatywny organ „sanacyjny" „Czas", „wygłaszają niejednokrotnie referaty pisane im przez ministerjalnych referentów" i „rezygnują całkowicie z jakiegokolwiek własnego zdania" — Sejm, który nie sprawuje kontroli nad Rządem, gdyż większość posłów rządowych—jak stwierdza to samo pismo „przepojona jest biernością, apatją, a nieraz, co gorsza służalstwem i brakiem charakteru", musi przestać mieć znaczenie, jako reprezentacja ludowa.

Jedyny sens takiego Sejmu polegać może na ciągłem uświadamianiu ludności o tym upokarzającym stanie rzeczy, na ciągłem wskazywaniu winnych i na ciągłem demaskowaniu obłudy, hipokryzji i kłamstwa.

Parę posiedzeń zaledwie odbył Sejm — i kilka posiedzeń odbyły senacka komisja konstytucyjna i sejmowa komisja budżetowa, — a ileż to już nieszczerości i obłudy zdołało się w tym czasie ujawnić, zawsze pokrytych zręcznie wielkiemi frazesami o ideałach, o ofiarności, o Państwie.

Kiedy przed paru dniami z trybuny Sejmowej ludowy poseł Mikołajczyk mówił o wyborach gromadzkich, — przedstawiając, jak to cichaczem, nocą, rozlepiano ogłoszenia o mających się odbyć wyborach, tak by nikt o nich nie mógł się dowiedzieć, — jakich to sztuczek używano przy stwierdzaniu podpisów i przyjmowaniu list, — słuchałem z uczuciem głębokiego upokorzenia. Wstyd mi było za ludzi, którzy się tego dopuszczali; — wstyd mi było wobec tych, którym w ten sposób wpajano poczucie państwowości i praworządności! Patrzyłem po ławach poselskich większości sejmowej: uśmiechnięte, ironiczne twarze, omal że nie dumne z tego, że umiano wymyślić tak dowcipne sztuczki wobec bezradnej i bezbronnej ludności.

A przecież przed paru dniami dopiero p. Sławek na senackiej komisji konstytucyjnej deklamował, że nowoczesne państwo przestało być już domeną władztwa, monarchy czy kliki, że stało się związkiem wszystkich obywateli, dla dobra tych obywateli. Piękna i słuszna teorja. Jak się ją jednak stosuje w życiu — wykazuje codzienna praktyka, wykazują takie „wybory" i cały nieszczęsny pomysł nowej ustawy konstytucyjnej.

Tam, w tym pomyśle, też wszystko robi się tylko dla wzmocnienia Państwa i jego władzy. „Nie mogą przecież wykonywać władzy w państwie 33 miljony ludności" powiada p. profesor Makowski — *i dlatego chce mieć Rząd nieodpowiedzialny i niekontrolowany przez te 33 miljony!* P. Sławek „chce mieć państwo mocne" i „w nim wolnych obywateli", i dlatego właśnie chce ograniczyć ich wolności polityczne i odebrać ich reprezentacji wszelką władzę i wpływ na rządy państwa.

Pewnie — 33 miljony ludności władzy sprawować nie mogą, *ale mogą i mają prawo sprawować kontrolę* i wypowiadać swą wolę odnośnie do tych, którzy nimi rządzą. A kto chce budować siłę Państwa i wolność obywateli na nieodpowiedzialności Rządu, ten jest w największym błędzie. Rząd, niekontrolowany przez ludność i jej reprezentację, Rząd nieodpowiedzialny, Rząd od ludności odgrodzony, — będzie zawsze drżał przed tą ludnością, będzie się jej bał, jak tego mamy dziś tak liczne przykłady w całej niemal Europie. *A strach nie rodzi się z siły.*

My też chcemy mieć Państwo mocne i w nim wolnych obywateli i także rozumiemy, że nie może być wielogłowej władzy. *Ale chcemy moc państwa oprzeć przedewszystkiem na odpowiedzialności rządzących za ich czyny i sposób rządzenia przed wszystkimi obywatelami.*

Tę odpowiedzialność jednak dzisiejsi „sanatorzy" wolą ponosić jak to powiedział p. Miedziński „*w swojem własnem sumieniu*" i przez wydawanie opozycyjnych posłów w ręce sądów. Doprawdy, wygodna odpowiedzialność! To też każdego, kto stara się pociągnąć ich do odpowiedzialności innej, —przed sumienia nie ich własne, lecz całej ludności, starają się zwalczyć i zohydzić.

Ileż to wyzwisk, ileż to kubłów pomyj wylano na mnie za to, że spytałem p. Ministra Skarbu „kto i ile wziął" za przeprowadzenie Pożyczki Narodowej. Stwierdzam dziś publicznie, że p. minister na moje pytanie nie odpowiedział, zadowolił się jedynie stwierdzeniem, że p. Starzyński nie otrzymał nic. Każdy bezstronny może osądzić, że to nie może być uważane za ostateczną odpowiedź na moje jasne pytanie. Ale mimo to zrobiono z tego „triumf p. Zawadzkiego".

Taki sam triumf „sanacji" i jej uczciwości starał się zrobić p. Miedziński z afery b. „sanacyjnego" posła Idzikowskiego. Uważa to za chlubę obecnego systemu, że nie zawahano się usunąć i oddać pod sąd członka stronnictwa rządzącego z chwilą, gdy popełnił nadużycia. Przy tej sposobności p. Miedziński, niesłychanie czuły pod względem etycznym, z całym spokojem rzuca inwektywy pod adresem innych, twierdząc, że dawniej tacy posłowie siedzieliby dotąd bezkarnie na ławach poselskich. W naszej 15-letniej praktyce parlamentarnej mieliśmy jeden tylko wypadek drobnego i bardzo stosunkowo niewinnego nadużycia ze strony posła sejmowego. Zmusiliśmy go mimo to do natychmiastowego złożenia mandatu. Dziś jest on w „sanacji". Więcej przykładów cytować nie mogę, bo więcej wypadków nadużyć nie było.

Znam ich natomiast całą masę z innej, bliższej mi dziedziny społecznej, — ze związków zawodowych. Ileż to zbrukanych indywiduów, iluż złodzieji, wyrzuconych przez nas, znalazło wygodne schronienie w „sanacyjnej" organizacji ZZZ. Czuma, Pluskowski, wydalony za nadużycia Gonerko, Klimaszewski, którego niedawno dopiero jedno z pism „sanacyjnych" — sądząc, że to członek PPS. —napiętnowało ostatniemi słowami, a pozatem kilku byłych sekretarzy Związku Robotników Rolnych, wydalonych za kradzieże — wszyscy oni znaleźli wygodne schronienie w „sanacyjnym" ZZZ., który przy tym właśnie systemie mógł tych ludzi mianować reprezentantami robotniczymi i sekretarzami ich związków. Wbrew temu, co mówił p. Miedziński, twierdzę, że tylko obecny system mógł stworzyć tego rodzaju stan rzeczy.

I tak wszędzie. Wielkie słowa *dla pokrycia małych czynów.* Frazesy o ofiarności dla Państwa *dla pokrycia prywaty i egoizmu.* Deklamacje o wolności i potędze Państwa: *dla zdeptania wolności jego obywateli.* Kazania o uczciwości i moralności *dla pokrycia szerzącej się przeraźliwie zgnilizny.*

To też w tych warunkach rolę naszą zdzierania masek obłudy, wskazywania na ten stan rzeczy i wzywania ludności do walki z nim, spełniać musimy wszędzie — a przedewszystkiem w Sejmie, mimo przeszkód i mimo napaści ze strony „sanacji".

ZYGMUNT ŻUŁAWSKI.

W Jugosławji

Próby pojednania z opozycją. Ułaskawienie Macka

W sobotę wieczorem odbyło się pod przewodnictwem premjera Jewticza posiedzenie rady ministrów. Po zakończeniu posiedzenia minister sprawiedliwości dr. Kojic przyjął przedstawicieli prasy, którym podał do wiadomości dekret króla Piotra II, stwierdzający, że zbrodnie z powodu których adwokat zagrzebski dr. Macek został skazany, puszczone są w niepamięć. Dekret, który został zaproponowany prze ministra Kojica, zaopatrzony jest w podpisy trzech członków Rady Regencyjnej.

Dekret ułaskawiający przywódcę chorwackiego, dr. Macka, wywołał w kołach belgradzkich duże wrażenie i interpretowany jest jako zapowiedź zmiany kursu wewnętrzno - politycznego. Dr. Macek skazany został, jak wiadomo, przez trybunał obrony państwa za podpisanie odezwy kierowniczych kół chorwackich, które m. in. domagały się przywrócenia w Chorwacji stanu istniejącego w roku 1918 i ponownego rozstrzygnięcia w drodze rokowań z miarodajnemi czynnikami kwestji przynależności państwowej Chorwatów. Przywódca Chorwatów po odcierpieniu części kary w więzieniu Sremska Mitrowica zachorował i za zgodą króla Aleksandra przewieziony został do sanatorjum w Zagrzebiu, gdzie zakomunikowano mu decyzję Rady Regencyjnej. (ATE.)

W „Trzeciej Rzeszy"

Schacht obala wciąż nowych ministrów

Pomiędzy ministrem gospodarki Schachtem i ministrem wyżywienia Darre zarysowuje się coraz silniejszy konflikt. Po odsunięciu całego szeregu niewygodnych osobistości, mających wpływ na linję rozwojową systemu gospodarczego, jak Feidera i Krupp, minister Schacht obecnie podjął walkę ze, zdaniem jego, szkodliwą polityką agrarną ministra wyżywienia Darre. Minister Schacht w poufnym referacie, wygłoszonym w swojem ministerjum, nazwał politykę autarchiczną ministra Darre nierealną. W walce z ministrem Darre minister Schacht znajduje poparcie licznych rzesz chłopów niemieckich, niezadowolonych z polityki ministra Darre. Należy przypuszczać, że minister Schacht zdoła przeprowadzić swe zamierzenia, dążące do całkowitego scentralizowania życia gospodarczego Rzeszy, co spowodować może ustąpienie ministra Darre. (ATE).

„Głos Narodu"

w rękach „Akcji katolickiej"

Od dłuższego czasu toczyły się rokowania między właścicielem „Głosu Narodu" w Krakowie p. Burianem a klerem w sprawie sprzedaży tego dziennika.

W tych dniach sfinalizowano umowę kupna i sprzedaży.

„Akcja katolicka" obejmuje „Głos Narodu", iako swój organ.

Według zamierzeń nowonabywców „Głos Narodu" stać się ma bojowym organem kierykalnym.

Oficjalne wypowiedzenie Traktatu Waszyngtońskiego

Z Tokjo donoszą, że nota japońska w sprawie wypowiedzenia waszyngtońskiego układu morskiego przesłana została już do Waszyngtonu. Nota zostanie prawdopodobnie w poniedziałek przez ambasadora japońskiego w Waszyngtonie wręczona sekretarzowi stanu Hullowi. Równobrzmiące noty przedstawione będą równocześnie przez ambasadorów japońskich w Londynie, Rzymie, Paryżu i stolicach innych państw, sygnatarjuszy układu morskiego.

Nota Rządu japońskiego nie wywołała w kołach politycznych Anglji, które z faktem tym liczyły się już oddawna, większego wrażenia. W kołach tych podkreślają, że Japonja jest związana umową waszyngtońską jeszcze przez dwa lata, wobec czego nie należy zgóry przesądzać możliwości zawarcia w tym czasie nowego układu morskiego. W myśl umowy waszyngtońskiej po wypowiedzeniu układu przez jedną ze stron winna się odbyć w roku następnym konferencja mocarstw morskich celem opracowania projektu nowej umowy. (ATE.).

U Maurycego Potockiego

Przed trzema dniami toczył się przed Sądem Okręgowym w Warszawie proces o ustanowienie nadzorcy sądowego nad majątkami Maurycego Potockiego.

Maurycy Potocki wystąpił do sądu z propozycją mianowania jego samego nadzorcą z ramienia sądu. Sąd Okręgowy postanowił powierzyć nadzór nad majątkiem p. Stanisławowi Bilskiemu, prezesowi Okr. Urzędu Ziemskiego Warszawa - Powiat.

Na krótko przed rozprawą sądową w majątku Maurycego Potockiego odbyło się wielkie polowanie, w którem udział wzięli różni wysocy dygnitarze.

Proces o nadużycia

w kinach toruńskich

Przed sądem okręgowym w Toruniu zakończył się wczoraj proces o nadużycia w kinach toruńskich, popełniane na szkodę magistratu m. Torunia w okresie od 1927 — 1930 r. Polegały one na tem, że w kinach sprzedawane były bilety ostemplowane podrobioną pieczęcią magistratu.

Po 4-dniowej rozprawie sąd ogłosił wyrok, mocą którego z pośród 9-ciu oskarżonych, głównego oskarżonego Władysława Dworkowskiego, skazano na 3 lata więzienia i 8 tysiące zł. grzywny, Franciszka Wamke, b. urzędnika magistratu na 2 lata więzienia i utratę praw publicznych, obywatelskich i honorowych na 8 lat, Włodzimierza Ruszkowskiego na półtora roku z zawieszeniem na lat 5 i Kochową na półtora roku więzienia z zawieszeniem na lat 5 i grzywnę 1000 zł. Dwuch oskarżonych sąd uniewinnił, pozostałych zaś skazał na kary więzienia od 8 do 10 miesięcy (PAT.).

Podziękowanie

Zarząd Główny Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci składa serdeczne podziękowanie ROBOTNIKOM FABRYKI „LILPOP, RAU i LOEWENSTEIN" przy ul. Bema 85 za ofiarowanie w dniu 22 grudnia r. b.

ZŁ. 1.000.— (SŁOWNIE ZŁOTYCH JEDEN TYSIĄC)

na wychowanie sierot robotniczych.

Zarząd Towarzystwa tembardziej ceni ten wspaniały dar, że pochodzi od robotników w obecnych czasach kryzysu dla klasy robotniczej, jak róównież i dla Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

Nie ustąpimy i zwyciężymy

Rzadkim przykładem samouka, który się naprawdę wybił na czoło powojennych powieściopisarzów i nowelistów śląsko-regionalnych, jest p. Gustaw *Morcinek*, nauczyciel w Skoczowie. Za swoje prace otrzymał nagrodę pieniężną od województwa śląskiego. Ale myślę, że najlepszą nagrodą jest dlań powszechne uznanie i wielka poczytność jego książek. Może kiedyś napiszę o tych książkach osobno. Już dziś oświadczam urbi et orbi, że stokroć wolę niewymuszone rzeczy p. „Morcinka Rostomiłego", jak go powszechnie na Śląsku z uznaniem pieszczotliwie nazywają, aniżeli nadęte i kłócące się z życiem i prawdą historyczną, również nagrodzone, choć nie wiem za co, strasznie uczone, wymęczone, prace p. Zofji Kossak-Szczuckiej. Dla p. Szczuckiej Śląsk Cieszyński — to „Nieznany Kraj", chociaż Ziemia Cieszyńska — to pradawna dzielnica Polski, część Ziemi Krakowskiej, zaludniona przez jeden z najstarszych szczepów lechickich, Golędzinów, zasilony w ciągu wieków obficie uchodźcami z Polski, buńczuczną szlachtą i uczonymi a wiernymi dla swej wiary Arjanami polskimi. Stąd pochodzi ta olbrzymia prężność, ten hart ducha, duma i świadomość narodowa, a wreszcie gospodarność i pewna wyższa zamożność ludu polskiego na całym Śląsku Cieszyńskim — od Soły i Białki na wschodzie, aż po Ostrawicę na zachodzie.

Gustaw Morcinek w „Wyrąbanym Chodniku" z niezrównaną plastyką i najszczerszą szczerością opowiada o wielkiem wrażeniu, jakiego doznał, jako młode chłopię, na pewnym wiecu ludowym w Karwinie, na którym przemawiał przepięknie ks. Józef Londzin, a grzmiał porywająco Reger. Morcinek nie wspomniał tylko, co było przedmiotem narad owego wiecu; otóż był to jeden z pierwszych moich wieców w r. 1894 lub 95, na którym jednogłośnie uchwalono domagać się od władz zaborczych austrjackich dopuszczenia języka polskiego do wszystkich urzędów, oraz żądać zakładania szkół polskich, a w szczególności utworzenia polskiej szkoły górniczej. Było to równo 40 lat temu.

Odtąd szła walka o polskie szkoły na Śląsku Cieszyńskim z największem a nigdy niesłabnącem natężeniem; walka skuteczna, owocna i najczęściej zwycięska. W Michałkowicach zdobyliśmy stopniowo jedną, a potem drugą szkołę ludową, założyliśmy ochronkę, którą czeski wydział gminny musiał przejąć na koszt gminy, chociaż narodowa demokracja czeska ziemię i niebo poruszała, aby temu przeszkodzić. Sprowadzono sobie świetnego demagoga, nieprzebierającego w środkach ks. Svozila, który, zrzuciwszy sukienkę księżą i wystąpiwszy z kościoła katolickiego, specjalnie poświęcił się zwalczaniu Polaków i szkół polskich. Czeski zarząd gminy Michałkowice umieścił polską ochronkę w napół rozwalonej chałupie, na górce, w której suterenach była gminna... trupiarnia. Dopiero, gdy krakowski „Naprzód" i cieszyńska „Równość" ten dowód „braterskiej miłości" światu ogłosiły, trupiarnię przeniesiono gdzieindziej.

Z biegiem czasu wciąż czujna, nieustępliwa i energiczna praca uświadamiająca i organizacyjna socjalistów polskich przyczyniła się walnie do powstania polskich szkół w Ostrawie Morawskiej, w Marjańskich Górach (po czesku: Czertova Lhotka), w Gruszowie, w Dziećmorowicach i w dziesiątce dalszych gmin, zaludnionych przez polskich Ślązaków, lub przybyszów z Małopolski. W Ostrawie Morawskiej staraniem tow. dr. Wacława Seidla, lekarza, powstał przepiękny, pod względem architektonicznym osobliwość stanowiący, Dom Polski, w którym znalazła pomieszczenie polska szkoła ludowa, rozszerzona później na szkołę wydziałową. Że ten Dom Polski do dziś dnia pozostał w ręku Polaków i jest ostoją polskości na tych najdalszych rubieżach poza Ostrawicą, to jest wyłączna zasługa tow. Emanuela Chobota.

Nie znam ani jednego socjalisty polskiego, któryby nie brał w tej walce o szkoły polskie osobistego udziału. Na czoło tych bojowników wysuwali się w różnych okresach czasu. dr. Henryk Kłuszyński, Dorota Kłuszyńska, dr. Ryszard Kunicki, Józef Kwiatek, Alojzy Bączek, górnik ze Stonawy, Andrzej Czajkowski — górnik z Dąbrowy, Jan Kotas — górnik z Orłowej.

Zdobywczy pochód szkolnictwa polskiego, posuwający się coraz dalej na zachód, zaznaczył się w r. 1908 olbrzymim wiecem i demonstracją na rynku w Morawskiej Ostrawie, na którym przemawiał wówczas, imieniem proletarjusza polskiego: Ignacy Daszyński, a poparli nasze żądania czescy posłowie: Piotr Cingr i Jan Prokesz.

Kto chce wiedzieć, czem dla polskości Śląska Cieszyńskiego była zawsze i jest po dziś dzień Polska Partja Socjalistyczna i jej działacze, — ten niechaj choćby raz tylko zaglądnie do dziełka dra Bolesława Limanowskiego „Odrodzenie narodowe Śląska Cieszyńskiego", do głęboko uczonej i na ścisłych faktach opartej książki ks. Józefa Londzina „Polskość Śląska Cieszyńskiego", do przecudnej, surmami bojowemi grzmiącej pracy Zygmunta Majera „Gdzie walka wre", do źródłowych prac Mieczysława Jarosza i Kazimierza Piątkowskiego o Śląsku Cieszyńskim a choćby nawet do ostatniej książki Władysława Zabawskiego „Droga do wolności".

Krytyk sprawiedliwy, historyk, który fałszem się brzydzi, polityk, który gardzi partyjnictwem i stronniczością, przyjdzie do przekonania, że nieodpowiedzialne *klątwy samozwańczych patronów „sanacyjnego" światowego Związku Polaków Zagranicą — to głosy, które nie biją pod niebiosy.*

TADEUSZ REGER.

Rozważania świąteczne

Świat Pracy po raz szósty obchodzi Boże Narodzenie w nader ciężkich warunkach, gdyż kryzys gospodarczy nie stępił swego ostrza, lecz obraz boleśniej wbija się w życie, niszcząc egzystencję ludzkie.

Wieczór wigilijny dla tego drugiego świata: świata burżuazyjnego — będzie oficjalną i niepohamowaną radością, będą się obdarowywać kosztownemi podarkami przy obficie zastawionych stołach... Dowodzi to prowadzenia życia bez troski o jutro, życia obfitującego w radość i szczęście.

Inaczej jednak wygląda to święto u ludzi pracy; tu — zamiast radości i szczęścia — panuje smutek i troska o byt, o kawałek chleba! Rodziny robotnicze — głodne, zziębnięte i przedenerwowane—wyczekują, co dla nich zgotuje JUTRO. Twardy i przeklęty los życia uwziął się na nich i z nieprzejednanym uporem przynosi im stale... beznadziejność. Ta właśnie beznadziejność jest stokroć bardziej zabójcza od najsroższych katuszy, bo niszczy spokój i równowagę ludzi młodych, targa ich system nerwowy i gasi w nich nawet ten słabo tlący płomyk nadziei wyjścia z piekła rozpaczy i nędzy. Stale wzrastająca liczba samobójstw — i to szczególnie u ludzi pracy potwierdza całkowicie tę rozpacz i beznadziejność.

Tu podarki gwiazdkowe nie wywołują nawet słabej „lepszej" nadziei na najbliższą przyszłość, bo oficjalna liczba bezrobotnych w pierwszej połowie grudnia b. r. wyniosła 369.310 osób, czyli jest o 26.710 osób więcej, aniżeli w dniu 31 grudnia 1933 roku. JEŻELI WEŹMIE SIĘ POD UWAGĘ, ŻE W CIĄGU JEDNEGO TYGODNIA LICZBA OSÓB BEZ PRACY WZROSŁA PRAWIE O 20%, MAMY NIEZBITY DOWÓD, ŻE KRYZYS W SZYBKIEM TEMPIE POGŁĘBIA SIĘ.

Chociaż kilkoletni kryzys zrodził (i to szczególnie w świecie burżuazyjnym!) rozmaitych „lekarzy" — recepty ich przyniosły skutek wręcz odwrotny, bo — zamiast obiecywanego polepszenia — choroba żrąca życie gospodarcze, nietylko nie ujednostajniła się, ale wżera się coraz głębiej w organizm. Znaleźli się i tacy, którzy w dyktaturach widzieli zbawienie, ale eksperyment ten okazał się bardzo kosztowny i nic nie dał. A więc i te nadzieje ich zawiodły!

Zacofani przemysłowcy jedyny ratunek widzą w niskich płacach, w długim czasie pracy i w zniesieniu ubezpieczeń socjalnych. Gdyby nawet te marzenia przemysłowców spełniły się, to zamiast poprawy, nastąpiłaby zupełna katastrofa, bo przecież głównym punktem ciężkości obecnego kryzysu jest zniszczenie konsumenta i niepewność sytuacji politycznej nietylko w Europie, ale poniekąd na całym świecie.

Ale te metody mądrali kapitalistycznych już doprowadziły robotników do potwornej nędzy. Na podstawie danych Gł. Urzędu Statystycznego 54% MĘŻCZYZN i 82% KOBIET, ZATRUDNIONYCH W WIELKIM I ŚREDNIM PRZEMYŚLE PRZETWÓRCZYM W POLSCE, NIE ZARABIA NAWET 100 ZŁ. MIESIĘCZNIE. A przecież są to żywiciele rodzin, którzy mają je nakarmić, przyodziać i dzieci jako tako wychować. Z czego mają pokrywać te wydatki? Prawdopodobnie radzą sobie, „oszczędzając" na żywności, co w skutkach jest zabójcze dla szerokich mas robotniczych. Przecież są to cyfry wołające o pomstę do nieba; dowodzą one niezbicie, że obecna polityka płac, prowadzona przez przemysłowców, grozi zagładą i zupełnem wyniszczeniem egzystencji ludzi pracy.

Wszystkie dotychczasowe metody, które miały na celu bodaj chwilowe oderwanie się od kryzysu gospodarczego — zawiodły. TKWIENIE W STANIE CIĄGŁEJ BEZRADZIEJNOŚCI, JEST NIETYLKO SZKODLIWE ALE WPROST ZABÓJCZE. Dlatego też nasze zasadnicze rozważania powinny prowadzić do akcji GRUNTOWNEJ PRZEBUDOWY USTROJU SPOŁECZNEGO I GOSPODARCZEGO.

WILHELM TOPINEK.

Mówili

Palą się w światłach choinek
kolorowe kule ze szkła — —

praczce dziś umarł synek —
gorzki jest biedy smak — —

palą się w blaskach kolorowych świec
migoty nitek ze złota — —

upił się dzisiaj, na kredyt, przy wilji
stary szewo — —

tak sobie w bramie mówili —
były te czasy, były — —

błyszczą przy blasku choinek
zabawki, książki, jak w sklepie — —

umarł tej praczki ten synek,
upił się szewo — — to — im lepiej — —

CZESŁAW CIEPLIŃSKI.

Wanda Wasilewska

WIKTA

Wiktę panna Anastazja wzięła z domu sierot. Zahukana, piętnastoletnia dziewczyna, drżąca przed „dobrodziejką" uważała, że się jej zrobiło niesłychaną łaskę. Przerażonemi, okrągłemi oczyma patrzyła w twarz starej panny, starając się odgadywać każde jej życzenie. Zrosła się całkowicie z domem, jak jakiś brzydki, ale konieczny sprzęt. Tak właśnie traktowali ją wszyscy. Pan domu, Tomasz, niemal jej nie zauważał; była cicha, posłuszna i harowała jak wół. Nie wiele jej zresztą z tego przychodziło. Z mikroskopijnej pensyjki Anastazja urywała, co mogła. Wikta za każdem wytrąceniem przysięgała sobie, że nie rozbije już niczego. Ale to było daremne. Ilekroć stara panna weszła do kuchni, nieszczęsnemu garnkotłukowi leciało wszystko z rąk. Nie ośmielała się także protestować, kiedy dochodząca posługaczka zwalała na nią winę za poczynione przez siebie szkody. Przywykła do roli kozła ofiarnego i nie wyobrażała sobie, że może być inaczej. Wstawała przed świtem i kładła się spać ostatnia w domu. Mgliście wiedziała, że przysługuje jej jakieś wychodne w niedzielę, ale Anastazja pozwalała chodzić tylko na nieszpory, bacznie kontrolując godziny wyjścia i powrotu. Zresztą całe życie Wikty było pod kontrolą. Conajmniej raz na tydzień Anastazja przeglądała jej kuferek, w którym nie było nic poza kilku lichemi łaszkami, zniszczoną książką do nabożeństwa i kolekcją świętych obrazków, zebranych w domu sierot przy okazji odwiedzin różnych dobrodziejów i dobrodziejek. Zdarzało się, że stara panna szła za nią, kiedy dziewczyna wychodziła na zakupy. Taksamo kontrolowała każdą pozycję w rachunku. Wytrącała z pensji kwoty nawet wtedy, kiedy stwierdziła, że służąca kupiła coś o grosz drożej, podczas gdy w sklepiku na następnej ulicy można było dostać dany produkt właśnie o grosz taniej.

— Nie wiedziałam... — tłomaczyła się Wikta, stojąc jak przestępca przed groźną gospodynią domu.

— Ale powinnaś wiedzieć — sucho ucinała Anastazja. — Właśnie żebyś na przyszłość wiedziała, odliczę ci to od pensji. Nie wolno marnotrawić grosza swoich chlebodawców.

Z tym chlebem zresztą też nie było wszystko tak, jakby się zdawało. O ile przy kolacji ktoś miał większy apetyt, Wikta szła spać głodna. Chleb zamknięty był w spiżarni i Anastazja wydzielała go w ściśle odmierzonych porcjach. Toteż twarz dziewczyny była wyraźnie anemiczna, cierpiała na bóle i zawroty głowy. Na te wszystkie dolegliwości Anastazja znała tylko jedno lekarstwo — pracę. Wikta zwijała się od rana do nocy. Nosiła węgiel z piwnicy, prała, gotowała, froterowała podłogi, cerowała skarpetki panu i paniczowi, szorowała, porządkowała w nieustannym kieracie. Wolne chwile świątecznych dni Anastazja umiała zapełnić doszczętnie pobożnemi praktykami. Była zadowolona ze swojego systemu. To, co przedtem robiły dwie służące, wykonywała teraz sama Wikta przy niewielkiej pomocy dochodzącej posługaczki. Wikta nie sądziła, że może być inaczej. Nie znała nikogo, nie przyjaźniła się z nikim, dziewczęta z kamienicy miały ją za głupkowatą. Zapomniała nie mal mowy ludzkiej — czasem tylko zagadała do niej uprzejmie szwaczka z oficyny, Anna. Ale Wikta zawsze w takim pośpiechu załatwiała sprawunki, tak prędko biegła po schodach, że nie nawiązała się z tego żadna znajomość. Nie wyobrażała sobie nigdy, że kiedyś może się coś w jej życiu zmienić. Jej Chciał się ożenić zaraz po wyjściu z wojska, ten Józi brat. Nie szukał żadnych horyzont ograniczał się do domu, w którym służyła, w którym zdawało się, że pozostanie to wiecznie. Nie miała zresztą czasu na wyobrażanie sobie czegokolwiek, ani myślenie. Kiedy skończył się kołowrót codziennych zajęć, waliła się niemal nieprzytomna na łóżko w ciemnej nyży i zasypiała snem bez widzeń, z którego budził ją dopiero przeraźliwy terkot budzika, co wieczór nastawianego własnoręcznie przez Anastazję. Nie, nic nie mogło się tu zmienić. Zależnie od pory roku otwierało się okna na krócej lub dłużej, skubało gęś albo oprawiało zająca, robiło kompot z agrestu albo śliwek — to były jedyne zmiany, jakie zdarzały się w monotonnym żywocie. Jedyną rozrywką, dostępną i dozwoloną był kościół. Siedząc w ławce, odurzona kadzidlanym dymem, oszołomiona dźwiękami organów, olśniona blaskami złoceń zapadała w całkowity bezwład ciała i duszy, w ogłupiałą drzemkę, dającą wytchnienie. Wobec usilnych nakazów pani starała się modlić, ale pozostawało to w sferze dobrych chęci. Dopiero w tych momentach odczuwała zmęczenie całego tygodnia. Nogi ciążyły jak kłody, wepchnięte w przyciasne, świąteczne buciki. Piekły odparzone, pobijane palce. Uparcie walczyła ze snem, rozwierając opadające powieki. Nie rozumiała wogóle, co się dzieje koło niej. Wstawała i klękała, kiedy robili to inni, ale nie mogła nadążyć za biegiem nabożeństwa. Rozpływała się jej w oczach postać księdza przy ołtarzu, mieszało się wszystko nieskładnym korowodem. Kiedy ludzie zaczynali wychodzić, podnosiła się i ona, czując nieznośny bezwład ciała. Każdy ruch musiał być wykonany wysiłkiem woli. Wolno wracała do domu, myśląc już o tem, czego się należy naprzód chwycić.

Poza tą poranną mszą i nieszporami dzień świąteczny nie różnił się niczem od powszedniego. Jeszcze to, że w święto nie cerowało się skarpetek. Ale i tak było dosyć roboty, szczególnie, kiedy jeszcze przyszli goście.

W stosunku do „państwa" przeważającem uczuciem u Wikty był strach. Ja skrawy i powodujący dygotki, jeśli chodziło o Anastazję, nie ustępował wobec Tomasza, który nie zauważał jej na tyle, że nie odzywał się do niej nigdy. Mniej lękała się „panicza" i „panienki", ale na wszelki wypadek obchodziła ich zawsze zdaleka z nieufnem spojrzeniem bezbarwnych oczu. Przyzwyczaiła się do tego, że nie zaznaje się niczego dobrego od bliźnich. Miała w tym kierunku długoletnie doświadczenie z domu sierot, i ta niezłomna prawda głęboko wryła się w jej serce i pamięci. Jedynym sposobem dla uniknięcia ciosu było unikanie zetknięcia się z kimkolwiek. Odbijało się to nawet na jej ruchach — przynosząc coś do pokoju, zawsze omijała obecnych bokiem, ostrożnym kręgiem. Mimo groźnych uwag Anastazji nie mogła się pozbyć tego przyzwyczajenia. Patrzyła na gniewającą się „panią" szklanem spojrzeniem wyłupiastych oczu i równocześnie cofała się bokiem, dziwacznym ruchem znarowionego konia.

W okresie przygotowań do ślubu „panienki" zdarzył się cud.

„On" był bratem Józi z trzeciego piętra. Miał olśniewający mundur szeregowca piechoty i oczom Wikty przewodził się jak conajmniej archanioł. Dzięki rozgardjaszowi w domu, kręcącym się wciąż ludziom, wysyłaniu Wikty sto razy po rozmaite drobiazgi, bystrym oczom Anastazji uszła sielanka na schodach. Wikta z duszą na ramieniu, wytężając słuch, czy nie rozlegnie się ostry głos pani, z rozwartemi ustami słuchała żołnierskich komplementów. Chciał się żenić zaraz po wyjściu z wojska ten Józi brat. Nie szukał żadnego latawca, o nie! Na takie, co to przypalają grzywki i pudrują nos to ani nie spojrzy, może być pewne. Żony mu potrzeba robotnej, skromnej, nie latawicy i niepoczciwej.

Wikta potakiwała gorliwie rudawą głową, mgliście przeczuwając, że to ona ma być przeciwieństwem latawców i nic ponów. Cofała lękliwie zniszczoną, chropawą rękę kiedy ją chciał ująć w swoje twarde, mocne palce. Bała się straszliwie, ale nie mogła oprzeć się pokusie przystanięcia na chwilę z wojakiem. A kiedy przyniósł jej w podarunku błękitną wstążkę, przywarła do niego całą duszą, jak wierny pies. Nie chciała niczego więcej, tylko być z nim zawsze razem, czyścić mu buty, cerować skarpetki, gotować obiad. Śmiała się z jego dowcipów, których nie rozumiała, z nabożną uwagą słuchała opowieści o koszarowych przeważkach.

Ale nic nie jest wieczne. Pułk młodego syna Marsa przeniesiono do innego miasta. Pożegnał się czule z zalaną łzami Wiktą, obiecując pisać. Niezupełnie wyraźnie powiedziano sobie wszystko do końca, ale dla Wikty było jasne i zrozumiałe, że jak wyjdzie z wojska, to się pobiorą.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 5-ej).

Działalność pisarska K. Pietkiewicza

Zmarły niedawno tow. Fakir znany był nam wszystkim, jako działacz bezinteresowny i ofiarny i jako abnegat życiowy. Jego działalność literacka jest mniej znana. Obdarzony dużym talentem i łatwością pióra, tow. Pietkiewicz nie miał szczęścia do wydawców. Jego postać, krańcowo zaniedbana, nie budziła w kołach wydawniczych zaufania. Opowiadał pewnego razu z goryczą swym przyjaciołom, jak spojrzawszy nań, zwracano mu rękopis bez przeczytania, patrząc nań jak na włóczęgę — grafomana. Za skromny był na to, aby postarać się o reklamę, która nieraz przysłużyła się ludziom mniej odeń zasłużonym

Lwia część prac Fakira jest związana z przeszłością ruchu socjalistycznego. Są tam i osobiste wspomnienia, w których zresztą jego osoba nie wysuwa się na plan pierwszy. Do takich prac należy broszura „Czas próby", stanowiąca przyczynek do dziejów ruchu socjalistycznego, w okresie, poprzedzającym powstanie Polskiej Partji Socjalistycznej, oraz liczne wspomnienia, przeważnie na tle wygnania syberyjskiego, rozrzucone po różnych kalendarzach i jednodniówkach. Wiele prac o charakterze raczej historycznym drukowano w kwartalniku „Niepodległość". Wymienić tu należy: Michał Mancewicz i jego czasy. Polacy w rosyjskim ruchu wyzwoleńczym (Kacper Turski. Leon Dmochowski i kółko Dołguszyńców. Polacy w procesie upadku Narodnej Woli). Mojżesz Lurie i „Raboczeje znamia". Pozatem ukazało się w „Niepodległości" wiele drobnych przyczynków, jak: Do biografji Michała Mancewicza. Z dziejów techniki konspiracyjnej i t. d.

Ramy „Niepodległości" tylko częściowo mogły objąć polski ruch socjalistyczny. Pietkiewicz zatem, opierając się na uchwałach Zjazdu Stowarzyszenia byłych Więźniów Politycznych, postanowił rozpocząć pod firmą Warszawskiego Koła wydawnictwo, wyłącznie związane z działalnością socjalistyczno - rewolucyjną w Polsce. O stworzeniu wielkiego wydawnictwa w rodzaju rosyjskiego miesięcznika „Katorga i zesłanie", niepodobna było marzyć. Tamto wydawnictwo miało jeżeli nie materjalną, to przynajmniej moralną pomoc swego rządu, a pozatem mogło liczyć na ogromną ilość prenumeratorów, przy nastawieniu psychicznem na kult przeszłości rewolucyjnej. Tu trzeba było dać bardzo skromny początek i rachować wyłącznie na własne siły. Tak powstało skromne dwuarkuszowe wydawnictwo „Pod sztandarem rewolucji", zamienione następnie na „Z minionych dni". Wydawnictwa tego ukazało się zaledwie dwa zeszyty. Były one zaczątkiem większego wydawnictwa Stowarzyszenia byłych Więźniów politycznych, które ma się ukazać za miesiąc już pod firmą Zarządu Głównego Stowarzyszenia.

W wydawnictwie wymienionem sam Pietkiewicz wypełniał niemal połowę zeszytu. Pisał o demonstracji PPS - owej podczas obchodu wianków w 1893 roku, o petersburskiej „Gminie", o działalności zmarłych towarzyszów. Wszystkie jego artykuły cechował sentyment serdeczny, wysoki poziom ideowy, sumienność i dążenie do prawdy objektywnej. Jedyne braki wypływały z braku historycznej metody.

Pietkiewicz od wczesnych lat młodości zdradzał upodobania poetyckie.

Z licznych jego wierszy (podpisanych F. A. K., t. j. Fakir) dwa, a mianowicie „Zwycięscy" i „Bojownik idei", po bardzo wielu latach zostały wydrukowane w obu zeszytach wydawnictwa Warszawskiego Koła. Cechuje je entuzjazm i wiara w przyszłość. Te same właściwości posiada większy wiersz p. t. „Prometeusz".

Ostatnie strofy wiersza „Bojownik idei" mogą uchodzić za credo życiowe Pietkiewicza.

Nie stanę w pół drogi, osiągłszy pół celu,
Nie będę grzęzł w błocie sobkostwa jak wielu,
Lecz póki się krzywda na świecie panoszy,
Nie pragnę zaszczytów, życiowych rozkoszy,
Aż wreszcie idea zwycięży!

W ostatnich latach swego życia K. Pietkiewicz z wielkim zapałem zaczął się oddawać studjom językoznawczym, zwłaszcza nad językami litewskim i łotewskim. Studja te były prowadzone po amatorsku, gdyż Pietkiewicz gardził metodyką w językoznawstwie, podobnie jak w historji, powtarzając stale, że od metody ważniejsza ideowość, jednak udało mu się dobrze opanować język litewski. Owocem jego studjów był wydany w 1933 roku przekład na polski pracy Chrystjana Donalitiusa p. t.: „Rok" (obrazy z życia chłopów w XVIII wieku). Jest to utwór trochę przypominający „Pana Tadeusza", a trochę momenty sielanki „Herman i Dorota".

Pod koniec życia tow. Pietkiewicz przystąpił do opracowania pamiętnika, lecz zdążył napisać tylko 11 stron.

Uboga jest wogóle nasza literatura pamiętnikarska. Pochłonięci codzienną pracą i walką nasi towarzysze odkładają swe zamiary w tej dziedzinie z dnia na dzień i z roku na rok w złudnem przekonaniu, że zawsze zdążą. W ostatnich paru latach zmarło lub odsunęło się od pracy z powodu ciężkiej choroby wielu starych wybitnych towarzyszów, których życie jest bardzo poważnym przyczynkiem do dziejów Socjalizmu w Polsce. Mamy jedynie pamiętniki tow. Daszyńskiego. Nie napisał ich ani Limanowski, ani Perl, ani Diamand, ani Heryng, a Posner pozostawił jedynie nieuporządkowane fragmenty. Oby te słowa posłużyły za apel do żyjących i władających piórem towarzyszy!

Gdy nadejdą lepsze czasy, lepsze w znaczeniu i politycznem i gospodarczem spuścizna literacka po Pietkiewiczu będzie troskliwie zebrana i wydana. Winniśmy to jego jasnej pamięci. Chwilowo wystarczyć musi rzut oka na jego działalność piśmienniczą. Dzięki tej działalności, z dobrotliwej twarzy Fakira, której rysy zacierać się będą stopniowo w naszej pamięci, wyziera ku nam nietylko działacz-konspirator, nietylko moralista, ale i człowiek dużej wiedzy i ogromnej pracy.

JAN KRZESŁAWSKI.

Człowiek, który wypłacił pół miljarda

Ostatni zbliżam się do okienka i odbieram 200 zł., które mi przyniosło szczęście. Zagaduję kasjera.

— Ciekawe, ile pan w życiu wypłacił wygranych loteryjnych?

Starszy pan w okularach uśmiecha się dobrodusznie. Widać, że pytanie go zaskoczyło.

— Przyznam się panu, że nigdy się nad tem nie zastanawiałem. Ale tak na chybił trafił sądzę, że ponad pół miljarda złotych.

— Pół miljarda — powtarzam z niedowierzaniem. Możnaby obliczyć ,ile czasu człowiek musi stracić, by wypłacić taką sumę choćby w pięćsetkach. Chyba sto lat...

Pan w okularach śmieje się.

— Tak długo nie pracuję w Generalnej Dyrekcji Loterji Państwowej. Natomiast niech pan weźmie pod uwagę, że wszystkie większe wygrane wypłacamy nie gotówką, lecz czekami na bank. Pozatem większość wygranych podejmują zbiorowo kolektorzy. Inaczej rzeczywiście nawet 100 lat, by mnie nie wystarczyło na wypłaty.

Korzystam ze sposobności i pytam dalej.

— Musiał pan zrobić wiele spostrzeżeń, jak zachowują się wybrańcy losu, zwłaszcza ci nowi miljonerzy i krociowcy.

— Przeważnie tak, jak pan. Są rozmowni i pytaniami zabierają mi sporo czasu...

— Przepraszam. — Chciałem się cofnąć.

— Nie szkodzi, nie myślałem o panu. W tej chwili mam czas, nikt nie czeka. Po ciągnieniach co innego. — Spostrzegł się, że mimowoli mnie uraził i chciał mi rozmową wynagrodzić. — Rzeczywiście mógłbym zestawić kolekcję różnych typów. Przeważnie widzę rozradowane twarze, choć nieco zgorączkowane i zdenerwowane. Inteligencja stara się ukryć swe wzruszenie. Uśmiechnięci, udają spokój, dopiero przy podpisie widzę, jak im ręce drżą. Niedawno wypłaciłem kilkadziesiąt tysięcy złotych jednemu inżynierowi, który ze zdenerwowania nie mógł wprost położyć podpisu.

— A ludzi prości?

— Tu skala jest bardzo rozmaita. Jedni nie zdają sobie zupełnie sprawy z wielkości sumy, którą otrzymują. Kobiecina z Katowic, wygrawszy 200.000 zł., mówiła, że kupi sobie za nie mieszkanie. Gdy ktoś z boku zauważył, że może mieć za te pieniądze nawet wielką kamienicę, nie chciała wierzyć. Inni są podejrzliwi i skryci. Rozglądają się, czy ich ktoś nie obserwuje, a często zapewniają, że to nie oni wygrali, tylko jakiś przyjaciel, który ich posłał do podjęcia pieniędzy. Częste są również natury szerokie, które swoją radością chciałyby obdzielić cały świat. Jeden robociarz, podejmując kilkanaście tysięcy, wciskał mi gwałtem do rąk 2 jabłka i mówił, że chce mi się czemś wywdzięczyć, a jabłka te były najcenniejszą rzeczą, jaką miał przy sobie. Czasem również zdenerwowanie ludzi na widok tylu pieniędzy objawia się w rozdrażnieniu i skłonności do kłótni...

W tej chwili nadszedł ktoś do okienka kasy. Kasjer skinął mi głową i zwrócił się do nowego wybrańca losu. (x).

STANISŁAW MŁODOŻENIEC

Fragment z utworu pt. „HEROD"

Ucieszna tragedja w trzech aktach z interludjami

(W sztuce tej, która niebawem zostanie wystawiona na jednej ze scen warszawskich, obok właściwej akcji na scenie, gdzie czynnie działają figury dworskie, tradycyjne, — prezentują się przed kurtyną w krótkich sprawach chłopi, rybacy i robotnicy. Coprawda wciągano ich do wytwornego Teatru za kurtyną, ale musieli tam odgrywać narzucone im role.

Właśnie w interludjum przed aktem 3-cim występuje gromada robotników, do których przemawia Dyrektor teatru.

3-CIE INTERLUDJUM:

Wchodzi Dyrektor... Sprzeciwka gromada robotników z młotami, siekierami, kilofami.

DYREKTOR:

Walą ostro... Fabrykanci!...

(wskazuje na Jąkałę)

Ten wyjąkał, co ta mógł...
Życie zgrzyta im po kancie,
to wyczytał ostry punkt..

Tu uważać!... Tu się nie da...
Niech odsapnie który z nich,
to z Teatrem będzie bieda —
już niejeden Teatr znikł...

Widzę, przyszli z narzędziami, —
nie uznają nawet świąt...

(do nich)

Kiedy życie jest wam kamień,
walić w kamień!... Stamtąd! Stąd!

Ceregieli nie lubicie,
to pokażcie ino tak, —
jakie codzień macie życie,
jaki w jutro wasz jest takt!

(Robotnicy walą w takt melodji, śpiewanej murmurando, młotami, kilofami, siekierami. Od czasu do czasu wpadają w ten śpiew słowa, recytowane gromadnie):

Sprawiedliwość...
przekuć...
świat...

Towarzysze...
w ogniach...
w męce...

Towarzysze...
wykuć...
ład...

Wyżej...
lepiej...
więcej...

Towarzysze...
huknąć...
grom...

Nie pożałuj...
serca...
rąk...

Towarzysze...
głowy...
serca...
ręce...

Wyżej...
dalej...
lepiej...
więcej...

(Wychodzą).

DYREKTOR:

Z tymi kto tam, nie zaczynaj!...
Ej! Kurtyna!

STANISŁAW MŁODOŻENIEC.

Teraz lżej było znosić wymyślanie Anastazji. Skrobiąc ziemniaki i cerując Wikta oddawała się potajemnie lekkomyślnym marzeniom o własnym domu, którego dotąd wogóle nie znała. Martwiła się tylko jednem, czy zdoła dobrze przeczytać list, bo wprawdzie drukowane szło jej wcale nieźle, ale z pisanem zawsze jest trudniej. Nie przyszło jej nawet do głowy, że może wcale nie napisać.

Ale wojak dotrzymał słowa.

Pewnego dnia Anastazja weszła do kuchni z twarzą gniewną, jak gradowa chmura. Wikta ścierpła. Pośpiesznie usiłowała sobie przypomnieć ewentualne przewinienie, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Zamarła w oczekiwaniu, kuląc głowę w ramiona, jak w oczekiwaniu ciosu.

— Opiekowałam się tobą w domu sierot, tak?

Wikta, nic nie rozumiejąc, milczała. Na jeden moment przemknęła jej myśl, że Anastazja oszalała.

— Odpowiadaj! Tak, czy nie?

— Tak...

— Dałam ci służbę, przyjęłam cię pod swój dach, dałam ci pracę i chleb, tak?

— Tak...

— Wychowałam cię, uczyłam modlitwy, wskazywałam, jaką drogą masz iść, tak?

— Tak — odpowiadała machinalnie służąca.

Teraz Anastazja wyciągnęła rękę, którą dotąd trzymała za plecami. W szponiastych palcach powiewała koperta.

— A ty nadużywasz mojego zaufania, zawierasz poza mojemi plecami podejrzane znajomości, chcesz wprowadzić hańbę i wstyd pod uczciwy dach, gdzie ciebie, podrzutka, przygarnięto jak własne dziecko!

Wikta cofała się przerażona, nic nie rozumiejąc.

— Co to jest, co to jest, co to jest? — pieniła się stara panna, powiewając jej przed nosem kopertą.

— List — szepnęła niepewnie dziewczyna.

— List! Tak, list! Listy odbierasz od niewiadomych ludzi, od Mężczyzn! kalasz mój dom, stajesz się dziwką, tak, zwyczajną dziwką!

Nagła radość zalała falą gorącą Wiktę. Napisał! Napisał! Wyciągnęła pospiesznie rękę. Anastazja spiorunowała ją wzrokiem i majestatycznie podeszła do pieca. Gwałtownym ruchem otwarła drzwiczki i rzuciła kopertę w płomienie. Wikta z przyduszonym piskiem nadepniętego psiaka rzuciła się naprzód. Zatrzymało ją stanowcze skinienie ręki.

— Jeszcze raz się coś podobnego powtórzy, a wyrzucę, na ulicę wyrzucę jak psa! Nie dam ci świadectwa, nigdzie nie znajdziesz służby! Rozumiesz?

Wikta stanęła na środku kuchni z otwartemi ustami.

— A do twojego kawalera napiszę, dziś wyślę zawiadomienie, żeby się nie odważył napastować mojej służącej, że i tak żaden list do twoich rąk nie dojdzie, i żeby nigdy, nigdy nie ośmielił się tu pokazać, w żadnym wypadku! Rozumiesz? Wybij sobie raz na zawsze wszelkie głupstwa z głowy! Nic z tego nie będzie! nigdy! Czemu stoisz jak drąg? Obiad nastawiony?

Wikta pospiesznie przysiadła na podłodze i zaczęła obierać kartofle nieskładnemi, trzęsącemi się palcami. Długie, kręte węże łupin opadały do plecionego koszyka.

Anastazja poszła do swojego pokoju. Nie chciały się rozewrzeć mocno zaciśnięte wargi. Rzuciwszy okiem na zamknięte drzwi wyciągnęła z szuflady list którego pustą kopertę rzuciła przed chwilą w ogień w oczach przerażonej Wikty. Ze zmarszczonemi brwiami czytała jeszcze raz:

„Kochana Wiktusiu, najpierw dowiaduję się o twojem zdrowiu i powodzeniu. Moje powodzenie jak zwykle przy wojsku, czego i tobie życzę. Kochana Wiktusiu, chciałem ci napisać, żeśmy się to całkiem jeszcze nie zgadali, że mam chęć napewno się ożenić jak tylko wyjdę z wojska, co znaczy miesięcy osiem, tydzień jeden i cztery dni. I jeszcze kochana Wiktusiu chcę ci napisać, że mam chęć ożenić się akuratnie z tobą. Nie myśl sobie, że jestem taki, co to dziewczynie tylko głowę zawróci i potem go niema. A żeś jest sierota i majątku nie masz, to ja się o to nie trapię. Zawsze sobie radę damy, jak tylko w zgodzie będziemy, co mam nadzieję. Jeszcze cię bardzo pięknie proszę, napisz do mnie, bo mi się tu bardzo przykrzy i za tobą też. I pięknie cię pozdrawiam, kochana moja Wiktusiu, pa, pa, pa, twój na wieki kochający Bronisław".

Anastazja była wstrząśnięta do głębi. W jaki sposób ta zahukana, strachliwa Wikta, nad którą swojej władzy była tak pewna, mogła w niezauważony przez nią sposób zawrzeć znajomość, i to znajomość z żołnierzem? Jak ośmieliła się nawiązywać korespondencję, pozwalać na to bez zawiadomienia jej, Anastazji, którą powinna uważać za dobrodziejkę i opiekunkę? Więc okazuje się, że mogło się dziać pod tym dachem coś, o czem ona, pani domu, nie wiedziała? Głupia, głupia, nikczemna dziewucha! Anastazję oblał żar na myśl, że o niczem nie wiedząc mogła dopuścić do skandalu, który roztrąbiłaby odrazu cała kamienica, który rzuciłby złe światło na jej dobrą sławę, opinję pani domu i chlebodawczyni. Spojrzała jeszcze raz na koślawe litery, pisane ciężką, niewprawną ręką. „Kochana moja Wiktusiu" — po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że Wikta jest widocznie także normalnym, zwyczajnym człowiekiem, jak tysiące innych, że jest w niej jeszcze coś poza automatem do spełniania tysięcznych domowych prac. Uprzytomniła sobie tłuste, rzadkie włosy dziewczyny, i piegi na płaskiej, bladej twarzy, wyłupiaste, pozbawione barwy oczy i jeszcze raz wstrząsnął nią gniew.

W gruncie rzeczy było to coś więcej, niż przyznałaby nawet przed samą sobą. Może wogóle nie zdawała sobie z tego sprawy. Ale uderzył w nią jak grom ten bezpretensjonalny, miłosny list, pierwszy miłosny list, jaki czytała w swojem życiu, pisany żywą ręką człowieka do drugiego żywego człowieka. Dotąd istniało to dla niej jako raczej teoretyczna wiedza, albo grzeszne bzdury wyzutych z czci i wiary pismaków. Tu było coś innego. Był sobie taki Bronisław, który zakochał się akurat w Wikcie. Anastazja nie pamiętała w swojem życiu człowieka, któryby się nią choćby przelotnie zainteresował. Odstraszała wszystkich swą ostrą miną dewotki, jaką miała od najwcześniejszych, dziecięcych niemal lat. W domu nie bywali żadni młodzi ludzie, z kolegami brata, Tomasza, nie stykała się nigdy, rosła sama jak palec, pod baczną opieką pobożnej matki. Zgrozą ją przejmowały chichoty i szepty koleżanek, przez ulicę szła ze spuszczonemi oczyma i surową twarzą. Nie, żeby myślała, że wogóle nie wyjdzie zamąż. Sądziła, że przecież wkońcu znajdzie się ktoś, kto jej surowe cnoty oceni i przełoży nad podejrzane walory lekkomyślnych dziewcząt, które widziała wokół siebie. Ale nie zjawił się nikt. Osiadła u brata i prowadziła mu gospodarstwo. Coraz bardziej zamykała się w sobie, z coraz większą żarliwością pogrążała w modlitwie i uważała, że to ona właśnie obrała lepszą cząstkę.

Teraz stanęła wobec listu jak uderzona. Nie, nie pomyślała o tem, że w niej nikt się nigdy nie zakochał, że nikt nigdy nie napisał do niej listu, po którego stracie musiałaby krzyknąć tak boleśnie, jak Wikta, rzucająca się ku piecowi, w którym płonęła koperta. Odrzuciłaby z szczerem oburzeniem wszelkie insynuacje w tym kierunku. Ale przecież było w tym liście coś, co ją przykuwało do siebie, co go jej nie pozwoliło zniszczyć. Włożyła go na spód pudła, zapełnionego niepotrzebnemi gratami, które się chowa, bo „zawsze się może przydać" i schowała w głębiach swojej olbrzymiej, pachnącej naftaliną szafy.

Jednakże od tego dnia zmienił się jej wewnętrzny stosunek do służącej. To, co przedtem robiła z obowiązku pani domu, przewodniczki duchowej i opiekunki nieszczęsnego samoluba, teraz płynęło z głębokiej nienawiści. Nie znała jej źródeł, ale była to nienawiść głęboko urażonej kobiety, mściwa, nieubłagana nienawiść ku szczęśliwszej rywalce.

W roku srebrnego paska

Nasi domorośli „mężowie stanu" okazują wprawdzie mało fantazji w wynalezieniu skutecznych środków na ogólną niedolę i Państwa i jego ludności, zato tem więcej fantazji i polotu w wynajdywaniu nowych „górnolotnych" określeń na rzeczy i sprawy, które mają swą potoczną nazwę „dokładnie" i ściśle ich istotę określającą. Wynajduje się więc „dno kryzysu" albo „srebrne paski na horyzoncie" — ostatecznie możnaby tę manję traktować z pobłażaniem, gdyby w tej napuszonej formie mieściła się prawdziwa treść, gdyby — jak jest odwrotnie — szumna nazwa nie kryła właśnie pustki w treści.

Jeden z byłych a może i przyszłych premjerów Polski jest „wynalazcą" srebrnych pasków na horyzoncie gospodarczym. Widział on je już przed dwoma laty, ale widocznie cieszy się nadzwyczajnym wzrokiem, gdyż poza nim mało było takich, którzyby to samo zaobserwowali. A już wcale nie zauważyli ich ci, którzy najtęskniej ich oczekują — robotnicy, t. j. właściwie ci z pośród robotników, których urzędownie z pobłażaniem a prywatnie z przekąsem nazywa się bezrobotnymi.

Dwa lata trwa już zagłębianie się w kryzysie dla spotkania się z jego dnami, dwa lata już szuka się na horyzoncie srebrnych pasków, zwiastujących przełom w kryzysie ku poprawie. I nic — ani dna ani pasków nikt nie odkrył poza tymi, którzy z urzędu obowiązani są widzieć to, co p. minister widzi. Wślad bowiem za tym ministerjalnym optymizmem szedł instytut do badania konjunktur, szły miesięczne sprawozdania Banku Gosp. Krajowego, szły głosy sanacyjnych ekonomistów. Działy się wprost „cuda": ludzie, których horyzont obejmuje tylko ich gabinet do pracy— widzieli rzeczy, których ludzie żyjący na powietrzu absolutnie zoczyć nie byli w stanie. W ten sposób obok znanej „statystycznej prawdy" dostaliśmy i „urzędowy optymizm" — szkoda tylko, że ani z jednej ani z drugiego żyć nie można.

Gdyby te nastroje nie były wyraźnie robione, gdyby nie robiono ich w wiadomym celu: dla utrzymania ludzi w cierpliwości i przy nadziei; gdyby próbowano prostemi słowami powiedzieć prostą prawdę — nie, to jest niemożliwe, na takie zaciemnienie swego nimbu sfery miarodajne nie pozwolą! Ludzie mają nietylko słuchać, ale i wierzyć — może w przeświadczeniu, że podobno wiara uzdrawia. A tu jest całkiem przeciwnie: zamiast nietyle już uzdrowienia ile bodaj drobnej poprawy coraz większe chmury zaciemniają srebrne paski a już prawie widzialne dno kryzysu obsuwa się coraz głębiej.

Przyznaję, że był czas, kiedy i ja dałem się zarazić tym urzędowym optymizmem. Na podstawie urzędowych danych w słowach i cyfrach oceniłem wzrost bezrobocia na jesień b. r. na około 1000 ludzi dziennie — rzeczywistość dotychczas tę liczbę już podwoiła, a w dalszym postępie zimy — choćby kalendarzowej — prawdopodobnie jeszcze silniej ją pchnie w górę. Koniec końców, początek grudnia z okrągłą liczbą 360.000 bezrobotnych stał się punktem szczytowym dotychczasowego przebiegu tej klęski od 1920 r.

W takiej proporcji zbliżamy się do końca roku a z srebrnych zrobiły się ponure paski, tembardziej że — odwrotnie do znanego przysłowia — nie tylko nie ubywa, ale wciąż przybywa. Jeżeli już sam ten fakt stawia urzeczywistnienie zapowiedzianego widoku na horyzoncie pod znakiem zapytania, o ile więcej powodów do zmniejszenia widoków na poprawę, jeżeli się dąży do odebrania i tych resztek możliwości, które tę nadzieję bodaj podtrzymywały? Przy obecnym stanie politycznym, kiedy Lewiatan i konserwatyści górują i w BB., głosy ich organów są właśnie tym sygnałem, który jest zdolny — a zapewne celowo wzięty — do zniszczenia nadziei. Jedyną drogą do usunięcia deficytu budżetowego widzi „Czas" w zupełnem skreśleniu inwestycji, nawet tych naprawdę skromnych, które finansuje fundusz pracy. Żadnych inwestycyji — to jedna droga; zwyżka cen przy równoczesnej redukcji płac robotniczych — to druga, a wejście na obydwie jest w naszych warunkach przecież całkiem możliwe, jeżeli się uwzględni znaczenie i wagę tych sfer, które na te drogi pchają.

A co wtedy? Wtedy zrodzi się fantazja o srebrnym pasku, ale w odwrotnem znaczeniu aniżeli ten zwrot został sfabrykowany. Nie robotnicy i wogóle ludzie pracy będą oglądali srebrny posek poprawy, ale kapitalizm i ich sługusy będą oglądali złoty pasek swojej poprawy, wznowienie tych błogich czasów, kiedy płaca robotnicza tworzyła jedną z ostatnich pozycji w kalkulacji dochodowej i kiedy państwo nie robiło „konkurencji" nawet na tych odcinkach, które kapitał prywatny jako mało dochodowych, nigdy nie reklamował jako terenu działalności wyłącznie inicjatywy prywatnej.

Tak przedstawiają się widoki na przełomie roku. Byłoby samołudzeniem się i wprowadzaniem klasy robotniczej w błąd, gdyby się przed nią ukrywało prawdę, mianowicie, że r. 1935 nie przedstawia dla niej przy utrzymaniu się obecnego ustroju — lepszych czasów aniżeli rok 1934. Jeżeli ten kończący się rok był świadkiem początku walk o nowym typie w obronie warsztatów pracy: fabryk i kopalń, to r. 1935 pod tym względem zarysowuje się w bardziej ponurych barwach. Tylko wiara i oparcie o własne siły, t. j. silna klasowa organizacja zawodowa może zapewnić robotnikom w czekających ich walkach dobre warunki wobec przedsiębiorców i dlatego hasłem wszystkich uświadomionych robotników musi obecnie więcej niż kiedykolwiek być:

WSZYSCY DO KLASOWYCH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

jako do narzędzi i instytucji dla walki o srebrne „paski" nie w imaginacji, a w rzeczywistości.

LEON FELDMAN.

„Gwiazdka" dla robotników rolnych

Koniec roku dla wielu tysięcy robotników rolnych jest momentem niezwykłej emocji i dużego zainteresowania.— Składa się na to kilka okoliczności, a najważniejsza z nich — to sprawa wypowiedzenia pracy na trzy miesiące przed końcem roku służbowego. — Następnie jest sprawa warunków pracy i płacy w rolnictwie.

Wtedy, gdy we wszystkich domostwach robotniczych, najbiedniejszych nawet „gwiazdka" wywołuje uczucie radości — u robotników rolnych wywołuję ona **uczucie niepewności,** bowiem żaden z nich nie wie, czy nie spotka go los w czasach obecnych zwykły — wypowiedzenie pracy. — Ta świadomość jest tak przygniatającą dla niezliczonych mas robotników rolnych, że napróżno szukaćby w domostwach fornalskich uczucia radości, związanej z tradycyjnem świętem Bożego Narodzenia. — W izbach folwarcznych ludzie się nie śmieją, a jedynym tematem rozmów, prowadzonych przyciszonym głosem, jest pytanie — czy najbliższe dni nie przyniosą troski o pracę? — A przecież wiadomo wśród jakich okoliczności robotnicy rolni poszukują sobie pracy pomiędzy 1 stycznia a 1 kwietnia. — Kto się nie „zgodzi" w styczniu — może daremnie poszukiwać pracy, bo jej nie otrzyma, a poszukiwać muszą wśród jakich potwornych warunków! — W czasie zamieci śnieżnej i mrozu ludzie chodzą od folwarku do folwarku i poszukują pracy.— Dobrze jeżeli będzie jaka taka pogoda, ale jeżeli przyjdą zamiecie i mrozy — tragizm położenia zwiększa się niepomiernie, a **chodzić trzeba,** bo jeżeli w styczniu się nie „uchodzi" to napewno pracy się nie otrzyma. — A wiadomo znowuż wśród jakich potwornych warunków eksmituje się na rozstajne drogi tych robotników, którzy pracy nie otrzymają po wygaśnięciu stosunku najmu. — Żadnych względów ani cienia współczucia — obszarnicy wnoszą sprawy do sądów, i sądy wydają wyroki eksmisyjne...

Następna sprawa — to jest **problem warunków pracy i płacy** na rok gospodarczy 1935/36. — Warunki te orzeczeniem Nadzwyczajnej Komisji Rozjemczej zostały ustalone w dniu 15 grudnia 1934 r. — Orzeczenie to jest bardzo przykrą niespodzianką dla Związku i dla ogółu robotników rolnych. — Jeżeli to ma być „gwiazdka", którą otrzymali robotnicy rolni z rąk przedstawicieli „sanacji", to gwiazdka to tak przygnbiająca, że wywołuje uczucie największej przykrości i rozczarowania.

Bo orzeczenie to nie oparte jest na przesłankach ekonomicznych, lecz na czysto przypadkowej kombinacji niezależnie od okoliczności, wśród których orzekano. — Jeden z pracowników Związku trafnie — określił orzeczenie, jako, „decyzję salomonową" — bo jakże inaczej nazwać?

Obniżono wynagrodzenie dla robotników sezonowych, jakgdyby chciano podkreślić, że choć nie pracują pełny rok, to muszą złożyć daninę ze swojej ciężkiej pracy na rzecz obszarników, którzy ponoszą pełną odpowiedzialność za bezład gospodarczy na wsi. — Obniżono płace przez przeszeregowanie niektórych powiatów dla robotników rolnych i ordynarjuszy. — Obniżono strawne, obniżono płace za godziny nadliczbowe. — Pozostawiono nieludzki przepis, dotyczący otrzymywania przez robotników ekwiwalentów za prawo trzymania krów. Panowie urzędnicy uznali za możliwe, by robotnik rolny, który nie ma krów, otrzymywał odpowiedni ekwiwalent w... kartoflach. Uznano za możliwe, że dzieci fornalskie zamiast mleka mogą jeść kartofle, które łaskawie Nadzwyczajna Komisja Rozjemcza przeznacza w stosunku rocznym 20 kwintali za prawo trzymania 2-ch krów. — To, że dzieci fornalskie puchną, że zżerają ich choroby, — to nic nie znaczy, a przecież dzieci fornalskie mają rosnąć na pożytek społeczeństwa. — Czy z karłowatych dzieci może mieć społeczeństwo pożytek?...

Każdy sumienny obserwator musi przyznać, że za każdą krowę trzymaną na utrzymaniu dworu — robotnik jeżeli jej nie trzyma — powinien mieć jako ekwiwalent 1½ litra mleka. — Niestety, orzeczono inaczej, czyż nie wiadomo członkom Nadzwyczajnej Komisji Rozjemczej, że cena mleka na wsi jest minimalna, że postulat dania mleka za prawo trzymania krów nie jest tylko postulatem ekonomicznym, ale i moralnym.

W dzień wigilijny dotrze ta smutna wiadomość do ogółu robotników rolnych, zamieszkałych na terenach województw centralnych i do uczucia niepokoju odnośnie ewentualnego wypowiedzenia pracy przyjdzie nowa gorycz w postaci obniżki płac w rolnictwie. — Czy mamy pisać, że tego rodzaju obniżki do niczego nie prowadzą, że wywołują oburzenie wśród mas robotniczych na wsi. — „Gwiazdka", święta — tak — tak, ale nie dla tych, którzy od wschodu do zachodu słońca pracują — ci nie będą mieli radosnej „gwiazdki", tam będzie panować smutek i przytłumiony gniew ludzi pokrzywdzonych.

Niezwykle wymowne jest życie w sytuacji obecnej. — Wymowa tego życia jest tak potworna w swoich przejawach, że każdy człowiek, patrzący krytycznie na dzisiejszy świat, na gospodarkę kapitalistyczną — musi przyjść do głębokiego przekonania, że dojrzał moment, by zmienić dzisiejszy krzywdzący ustrój.

JAN KWAPIŃSKI.

Codzienny wysiłek T.U.R.

KONKURS IM. STEFANA KOPCIŃSKIEGO NA NAPISANIE SZTUKI TEATRALNEJ.

Zarząd Główny TUR, spełniając wolę ostatniego walnego Zjazdu ogłasza konkurs na napisanie sztuki scenicznej.

Sąd konkursowy w osobach: K. Kaczanowskiego, J. N. Millera, A. Próchnika, M. Sokołowskiego, Leona Wasilewskiego, Czesławy Wojeńskiej i Aleksandra Zelwerowicza ustanawia następujące warunki:

1) utwór winien być oparty na ideologji socjalistycznej i przystosowany, w miarę możności do potrzeb i warunków scen robotniczych,

2) Utwór nie może być przed konkursem ani publikowany ani grany,

3) Termin zgłaszania prac do 1 maja 1935 r.,

4) Prace nadsyłać należy (maszynopis) pod adresem Zarząd Główny TUR (Warszawa, ul. Czerwonego Krzyża 20) w kopertach zamkniętych, należy podpisać godłem z dołączeniem koperty, zawierającej nazwisko i godło. Na pierwszej kopercie napis „Na konkurs im. St. Kopcińskiego".

5) Ustala się trzy nagrody: I w kwocie 500 zł., II — 150, III — 100 zł.,

6) Dnia 1 lipca 1935 r. ogłoszony zostanie wynik konkursu.

TUR W POZNANIU.

Nowy Zarząd oddziału TUR. w Poznaniu zabrał się do żywej i systematycznej pracy. Co środę odbywają się odczyty w sali domu ZZK. Pierwszy taki odczyt odbył się 28 listopada, tow Latanowicz, przewodniczący oddziału TUR. mówił na temat „Kultura proletarjacka". Następny odczyt również tow. Latanowicza „O zagadnieniach planowej gospodarki" skupił ponad 120 osób, a trzeci — przy jeszcze większej frekwencji, tow. Chudoby, wiceprewodniczącego TUR. na temat „Oblicze polskiego faszyzmu". W pierwszej połowie stycznia odbędzie się odczyt sekr. gen. TUR. tow. Piotrowskiego na temat „Jak socjaliści rządzą w krajach Skandynawskich i walczą z bezrobociem"

UROCZYSTOŚĆ KU CZCI TOW. LIMANOWSKIEGO W ŁAPACH.

Staraniem oddziału TUR. w Łapach odbyła się 15 b. m. uroczystość ku czci tow. Limanowskiego. Na program złożyło się przemówienie tow. St. Dubois, występy chóru, orkiestry, śpiew solowy, deklamacja. Nadto odegrano w przeróbce fragmenty z „Dziejów jednego pocisku" A. Struga. W powyższej uroczystości wzięło udział około 400 osób.

ANKIETA BIBLJOTEKARSKA.

Ostatnie dni nadsyłania kwestjonarjuszy ankiety biljotekarskiej powinny skłonić tych wszystkich tow. biljotekarzy tak z TUR. jak i z bratnich organizacyj do natychmiastowego wysłania odpowiedzi.

NA KONKURS IM. TOW. ST. KOPCIŃSKIEGO.

W odpowiedzi na nasz apel o zasilenie funduszu im. tow. Stefana Kopcińskiego na rozpisanie konkursu na utwór sceniczny w dalszym ciągu odpowiedzieli i nadesłali:

Oddział TUR. Jedlicze — 50 zł., Anna S. z Warszawy 5 zł.

DZIAŁALNOŚĆ TUR. W SIERCZY.

Uporządkowano u nas w oddziale TUR. w Sierczy, koło Krakowa, sprawy organizacyjne i przystąpiono, choć w skromnym zakresie, do wykonania planu pracy w sezonie zimowym. Ograniczać się ona będzie do urządzania odczytów, wykładów i pogadanek. W ostatnich 6-ciu miesiącach staraniem oddziału odbyło się 13 odczytów na tematy aktualne, opracowane przez referentów z Krakowa, lub siły miejscowe. W gromadzie Czerwonego Harcerstwa w tym czasie wydano 4 gazetki ściene, a koło samokształcenia przerobiło broszurę „Kto z czego żyje?" Przy oddziale jest czytelnia robotnicza i bibljoteka, z których korzysta kilkadziesiąt osób. W jesienych miesiącach b.r. odbyła się wycieczka Koła Krajoznawczego TUR. do Zeszutar do Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici" o charakterze oświatowo - propagandowym. Urządzono tam odczyt na temat „Jednolity front klasy pracującej i wsi", i pogadankę o kwestji żydowskiej. Najbliższem zamierzeniem oddziału jest opracowywanie i wygłaszanie odczytów na podstawie materjału gotowych odczytów pisanych, wydanych przez Zarząd Główny TUR., a także bliskie współdziałanie z organizacją młodzieży „Wici".

Nieprawdą jest, natomiast prawdą jest —

Jest adwokatem i twarz ma
rozlaną i jowialną —
ktoś mu chciał robić portret
z nimbem i wielką palmą — —

Ale — bez sensu — myślał,
że to niebardzo tego
takiego grubca zrobić
na czcigodnego świętego — —

Gdzie się to dzieje i kiedy,
i jak powiększa majątek,
nikt nie wie w mieście i nie wie,
jaki to był ten początek — —

Podobno nikt nie wie, jak utył
w swe cztery kamienice,
co mają po dwa fronty
na pierwszorzędne ulice — —

Nieprawdą jest to wszystko,
natomiast prawda napewno,
że pan mecenas ma serce
i duszę ma rozlewną — —

Lubi przebywać w kawiarniach,
gdzie siedzą literaci
i wszystkie sławy stolicy
kocha, choć za nie nie płaci — —

W swym gabinecie zawiesił
obrazy drogich artystów —
liczą ten jego gabinet
do dwustu tysięcy, czy trzystu — —

Nieprawdą są więc obmowy,
natomiast świadczy ta cena,
jaką naprawdę ma wartość społeczną
mecenas, gruby mecenas — — —

CZESŁAW CIEPLIŃSKI.

Zarząd Firmy „Standard Nobel w Polsce, Spółka Akcyjna" komunikuje nam, co następuje.

Ponieważ zwolniony pracownik naszej firmy, Leon *Ejlenfeld* — rozsyła do naszych klijentów oraz innych osób drukowane oświadczenia, w których stawia Zarządowi Firmy i urzędnikom bezpodstawne a krzywdzące zarzuty — pociągnęliśmy Leona Ejlenfelda do odpowiedzialności karnej z powodu zniesławienia.

Przed Naradą Delegatów Robotniczych Warszawy

Sytuacja gospodarcza klasy robotniczej staje się z miesiąca na miesiąc gorsza. Bezrobocie całkowite i częściowe trapi robotników coraz dotkliwiej. Płace robotnicze spadły poniżej wszelkich norm: P. Czajkowski ustalił w Nr. 11 „Przeglądu Ubezpieczeń Społecznych" z r. b., że przeciętny zarobek tygodniowy, obliczony dla miljona trzystu tysięcy robotników, wynosił 21 zł. 30 gr., czyli zarobek dzienny robotnika stanowił 3 zł. 55 groszy. Jak można żyć przy takim zarobku — jest to nierozwiązalne zadanie, podyktowane przez sanację klasie robotniczej. Czas pracy w drobnych gałęziach przemysłu stanowi 12—14 godzin na dzień. Warunki bezpieczeństwa i higjeny pracy są poniżej wszelkich wymagań: brak jest najpotrzebniejszych urządzeń zdrowotnych i ochronnych. Życie ludzkie mało jest warte.

Ubezpieczenia społeczne po ostatnich zmianach i ciągłych „nowelizacjach" i reformach—przestały odgrywać wszelką poważniejszą rolę... Przeszły one pod wyłączny zarząd biurokracji, mający na celu utrzymanie zrównoważonych budżetów. Dotyczy to zarówno Funduszu Bezrobocia, jak ubezpieczenia chorobowego i emerytalnego.

Fundusz Pracy zawiódł nadzieje już nietylko bezrobotnych, lecz wyraził doń swe rozczarowanie sam p. Minister Opieki Społecznej.

Robotnicy zorganizowani, mimo nieustanne przeszkody, prowadzą z podziwu godną wytrwałością swą walkę. Nie mija miesiąc nawet bez poważniejszych zatargów i strajków. A co jakiś czas zgodnym solidarnym wysiłkiem walczą o swe zagrożone prawa oraz warunki pracy i płacy całe wielkie zawody; dość przypomnieć tu niedawną walkę włókniarzy łódzkich i budowlanych w Warszawie.

Kapitalistów i władze niepokoją te objawy energji i niezmożonej siły robotników. Stąd wciąż ponawiane pomysły „uspokojenia" robotników na dobre: przez „zglajchszaltowanie" ruchu zawodowego i poddanei całego ruchu robotniczego pod dyktando przymusowych organizacji zawodowych.

Organizacje robotnicze Warszawy postanowiły na to wszystko odpowiedzieć wzmożoną akcją organizacyjną.

Rzucone zostało hasło: **„Frontem do fabryk".** Narada Delegatów Robotniczych która ma się odbyć w Warszawie w styczniu r. przyszłego ma być zrealizowaniem tej zasady w życiu.

Należy przełamać mur dzielący robotników zorganizowanych od mas, stojących poza organizacją. Te masy należy skupić wokół organizacyj klasowych i umożliwić wspólną, potężną akcję oporu.

ANTONI ZDANOWSKI.

Na froncie oświaty i kultury

Mowy ministra oświecenia

Minister oświecenia publicznego p. Wacław Jędrzejewicz wygłosił niedawno aż trzy przemówienia, które — do pewnego stopnia — dają pojęcie o planach i kierunku polityki ministerjum. Pierwsze przemówienie wygłoszone zostało na t. zw. „Radzie Oświecenia", drugie i trzecie — na komisji budżetowej Sejmu, przed i po dyskusji. Przyjrzyjmy się ważniejszym momentom, zwłaszcza w mowach budżetowych.

W stosunku do kleru minister był arcylojalny i ugodowy, kontynuując w tym względzie politykę poprzedniego ministra Janusza Jędrzejewicza. Przypominam przy tej sposobności, że bardzo niedawno ks. biskup Adamski na Śląsku zachwycał się oświadczeniami poprzedniego ministra. Otóż i obecny minister w swem oświadczeniu 19 grudnia oświadczył: „**Wytrwale realizując zasady konkordatu i zdążając na tej drodze do współpracy państwa i kościoła, Rząd zachowuje jaknajpoprawniejsze przyjazne stosunki ze stolicą apostolską**". Niedarmo poseł ks. Szydelski w swej mowie tak zachwycał się temi zapewnieniami ministra! Jak widzimy, „sanacja" zaczyna poważnie rywalizować z endecją w klerykalizmie.

W kwestji **mniejszości narodowych** spostrzegliśmy pewne nowe akcenty, bardzo zresztą leciuchne. Mianowicie w kwestji Ukraińskiej minister oświadczył, że „**polecił rozpocząć prace nad zbadaniem możliwości przeprowadzenia niezbędnych korektur w ustawodawstwie językowem**". Z początkiem przyszłego roku szkolnego ma być otwarte Ukraińskie Liceum Rolnicze. To wszystko. Rzecz jasna, iż to „oświadczonko" p. ministra nie stoi w żadnej proporcji z rzeczywistemi potrzebami ludności ukraińskiej i białoruskiej. Wystarczy powiedzieć, iż w roku 30/31 według urzędowej statystyki istniała tylko jedna (!) (prywatna) powszechna szkoła białoruska, i tylko 37 utrakwistycznych (dwujęzycznych) szkół polsko-białoruskich; czysto ukraińskich było 139, w tem 16 prywatnych, zaś ukraińsko-polskich (utrakwistycznych) 2974. Ukraińscy mówcy (zwłaszcza M. Rudnicka) gorąco protestowali przeciwko utrakwizmowi, wskazując także na to, iż ten utrakwizm bynajmniej nie jest równy dla Polaków i Ukraińców, bo tylko nieznaczny procent Polaków uczy się w szkołach utrakwistycznych, pozatem język polski w szkołach utrakwistycznych odgrywa znacznie większą rolę, aniżeli ukraiński.

Przechodzimy do kwestji głównej — **do groźnego kryzysu w szkolnictwie powszechnem**. Że jest bardzo niedobrze, minister przyznał już na „Radzie Oświecenia", mówiąc o „**ciężkiem zmaganiu się**" z trudnościami. Jednakowoż ani minister w swem oxpose na komisji ani referent p. Z. Stroński (BB) nie wchodzili w tragiczną problematykę kryzysu szkolnego. Dopiero po dyskusji, w odpowiedzi zwłaszcza na wywody mówcy socjalistycznego, iż procent dzieci w wieku szkolnym uczęszczających do szkoły spadł ostatnio z 96 proc. na 89 proc. i niżej, zaś na Kresach aż do 77 proc., — minister przyznał, że w Polsce mamy obecnie **587 TYSIĘCY DZIECI BEZSZKOLNYCH.** Jest to cyfra ogromna! zwłaszcza, że bynajmniej nie wyraża „rzeczywistej rzeczywistości", skoro optymistycznie przypuszcza, że ta cyfra 587 tys. nie będzie już przekroczona (?) Skąd ten optymizm? Sam minister powiada, że w roku bieżącym liczba dzieci uczących się wzrosła o 30 tys. (przy ogromnych wysiłkach, łączeniu grup, napchaniu izb szkolnych i t. p.). Tymczasem wedle słów ministra w przyszłym roku przyrost dzieci wyniesie około 90 tys. Gdzie się je rozlokuje? Jeśli zachowamy tempo „wzrostu" bieżącego roku, otrzymamy nowe 60 tys. dzieci bezszkolnych...

Minister nic nie powiedział o **wzroście analfabetyzmu** w Polsce, który stał się zjawiskiem niezmiernie groźnem. Trzeba pamiętać, że obok (cyfra minimalna) 6 milj. starych analfabetów, mamy wzrost podwójny: z jednej bowiem strony rosną analfabeci z tych (urzędowych) 587 tys. dzieci bezszkolnych, o **których mówił minister, a z drugiej strony** wpadają w **ponowny** analfabetyzm te dzieci, które niby były w szkole. Trzeba bowiem pamiętać, iż poziom nauki **obniża się** na skutek przeciążenia nauczyciela, napchania izb, łączenia grup i t. d. Zresztą, jak wiadomo, mamy w Polsce jedno i dwuklasówek 69 proc. z ogólnej liczby szkół (na Kresach 82 proc.). Przy tej tendencji recydywa analfabetyzmu rośnie w gwałtowny sposób, zwłaszcza, że wobec nędzy, bezrobocia niema pieniędzy na gazety i książki.

Nie możemy omówić wszystkich ustępów mowy ministra. Omówiliśmy trzy ustępy najważniejsze. Nie podzielamy wiary ministra, iż „**przekręcił kierunek w stronę pozytywną**". Stan rzeczy jest poprostu tragiczny!

W swej mowie komisyjnej podkreśliłem, iż stan oświaty jest ściśle związany z ustrojem politycznym i społecznym Państwa, oraz całokształtem polityki Rządu.

Młodzi idą...

W obronie miljonów bezrobotnych młodocianych

Powszechna akcja petycyjna Międzynarodówki Młodzieży

Międzynarodówki Młodzieży, na posiedzeniu odbytem w Leodjum dn. 6 sierpnia r. b. postanowił wszcząc akcję mającą na celu przedłożenie Międzynarodowej Konferencji Pracy w czerwcu 1935 r. uzasadnioną petycję, żądającą poczynienia przez Międzynarodową Organizację Pracy kroków w celu walki z bezrobociem wśród młodocianych.

Istotnie — Międzynarodowa Organizacja Pracy spośród wielu dziedzin, wchodzących w zakres jej działania nie zajęła się dotąd zupełnie zagadnieniem bezrobocia wśród młodzieży robotniczej i środków walki z tem bezrobociem.

Bezrobocie młodocianych jest niewątpliwie przejawem pozostającym w takiej samej zależności od kryzysu gospodarki kapitalistycznej — jak przejaw bezrobocia ogólnego.

Walka z niem postawiona być musi w ogólnych zasadach na tej samej płaszczyźnie. Jednak w swej doniosłości i dotkliwości jest bezrobocie młodocianych o wiele groźniejsze niż bezrobo-

Komitet Wykonawczy Socjalistycznej

cie wśród dorosłych i wywiera ono przedewszystkiem większe skutki moralne: młodzież stając u progu życia, już jest dotknięta bezrobociem zatruwającem widmem nędzy urok i rozmach młodości.

Miuro Socjalistycznej Midzynarodówik na posiedzeniu 27 listopada 1932 r. postanowiło, w myśl uchwały Komitetu Wykonawczego zorganizować zbieranie we wszystkich krajach podpisów pod specjalną petycję do Międzynarodowej Konferencji Pracy.

Treść tej petycji jest następująca:

„Niżej podpisani młodociani pracujący i bezrobotni poniżej lat 25, wszystkich zawodów i rozmaitych przekonań politycznych i wyznaniowych zwracają się do Międzynarodowej Konferencji Pracy z najgorętszym apelem, aby na posiedzeniu w r. 1935 poczynika kroki, zmierzające do:

1) zapewnienia miljonom młodych ludzi, którzy naskutek kryzysu gospodarczego zostali pozbawieni pracy i chleba — możliwości pracy, utrzymania i wykształcenia zawodowego;

2) stworzenia dla tych młodocianych, którzy natychmiast nie będą mogli mieć pracy — pomocy i urządzeń któreby ich uchroniły od nędzy materjalnej i moralnej i umożliwiły zawodowe i ogólne kształcenie".

Tekst petycji tej jednolitej dla wszystkich krajów — będzie uzasadniony indywidualnemi materjałami zebranemi przez poszczególne organizacje na terenie ich krajów.

Uzasadnienie tę obejmować będzie dane szczególne o rozmiarach bezrobocia młodocianych i jego wzroście w ostatnim roku w danym kraju, informacje o walce z bezrobociem prowadzonej przez instytucje publiczne oraz przez organizacje robotnicze (związki zawodowe, organizacje kulturalno - oświatowe) i wreszcie żądania organizacyj robotniczych danego kraju, odnośnie opieki i ochrony nad młodocianemi bezrobotnemi.

Międzynarodówka pragnie nie ograniczać akcji petycyjnej jedynie do członków organizacyj krajowych, ale wciągnąć do niej zarówno związki zawodowe, sportowe i kulturalno - oświatowe socjalistyczne — jak i organizacje młodzieży niesocjalistyczne.

Należy przypuszczać, że akcja ta spotka się z pełnem uznaniem i czynnem poparciem najszerszych kół młodzieży pracującej w całej Polsce.

Już teraz, zanim zostaną rozesłane poszczególne listy do zbierania podpisów — organizacje winny zająć się przygotowywaniem uzasadnienia, opracowywaniem danych, projektów i żądań, które posłużyłyby za materjał do uzasadnienia jakie się prześle do Biura Socjalistycznej Międzynarodówki Młodzieży, które skolei przedłoży je Międzynarodowej Organizacji Pracy.

Głos miljonów młodocianych robotników i pracowników nie będzie mógł przejść bez echa i zmusi Międzynarodową Organizację Pracy do szczególnego zajęcia się sprawą bezrobocia i nędzy młodzieży i do przedsięwzięcia kroków dla walki z temi przejawami — w formie przyjęcia zalecenia lub specjalnej Konwencji Międzynarodowej.

Celowy wysiłek oświatowy

Oddział T. U. R. w Krakowie zorganizował dwie stałe placówki oświatowe:

1) Szkołę nauk społecznych (pod kierownictwem tow. Feliksa Grossa).

2) **Kurs zawodowy** (pod kierownictwem Stefana Rzeźnika). Wysiłek ten nazwaliśmy celowym. Jest to bowiem najlepsza forma i sposób kształcenia działaczów robotniczych.

Już w zeszłym roku T. U. R. w Krakowie zorganizował „Szkołę" na analogicznych zasadach z bardzo dobrym wynikiem.

Przedmiotem wykładów są nauki społeczne, geografja, prawo pracy, hygjena społeczna, teorja i historja ruchu zawodowego, zagadnienia programowe i t. d.

TUR. krakowski prowadzi nadto kurs dla analfabetów, głównie dla robotników, zamieszkałych na przedmieściach wielkiego Krakowa. Kurs ten spełnia b. pożyteczną pracę.

Energja i rozmach, z jakim nasi przyjaciele krakowscy rozpoczęli tę pracę, daje rękojmię powodzenia. Życzymy im tego z całego serca.

A. K.

Tańcząca Rosja

Dzisiejsza Rosja przedstawiana jest w książkach i artykułach dziennikarskich jako kraj, gdzie wre gorączkowa praca, gdzie wciąż buduje się nowe domy, maszyny, nową przyszłość. Prawie nikt natomiast nie mówi o tem, jak sowiecki obywatel spędza swój wolny czas, czy odpoczywa po trudach pracy, czy niewypełnione socjalistycznem budownictwem godziny poświęca książce czy też naprzykład... butelce wódki.

Niewiele, coprawda, jest tych wolnych godzin, bo poza pracą zarobkową są jeszcze i zebrania partyjne lub związkowe, meetingi, a wreszcie kursy dokształcające. Ale trochę tego wolnego czasu znajduje się zawsze i człowiek, zmęczony pracą, stara się możliwie najwięcej przyjemności wyciągnąć dla siebie w tych krótkich chwilach.

Odpoczywa się w t. zw. „wychodnyj dień", przypadający co pięć dni pracy. Jest to jakby nasza nadzieja, i wówczas się nie pracuje. Tysiące ludzi wyrusza w ten dzień do „parków kultury i odpoczynku", będących czemś w rodzaju lunaparków, jednak w dużo szlachetniejszym gatunku, odpowiadających w zupełności swej nazwie. Słucha się tam koncertów, bierze udział w najrozmaitszych rozrywkach, ale przedewszystkiem — tańczy.

Ludzie starsi słuchają poważniejszej muzyki, młodzi natomiast wolą iść tam, gdzie orkiestra gra do tańca. A ponieważ takich orkiestr jest dużo, a jeśli nawet niema, to zawsze znajdzie się jakaś harmonja, więc we wszystkich niemal częściach parku odbywają się tańce.

Na miejscach specjalnie przeznaczonych do tańca wirują pary, na trawie, na ścieżkach. Dźwięki muzyki ściągają parki, które przyszły tu z wyraźnym zamiarem potańczenia, ale nie trzeba nawet mieć partnera, żeby móc obracać się w takt muzyki. Nieznajomi bez żadnych specjalnych wstępów czy prezentacyj tańczą z sobą, uśmiechając się z zadowoleniem.

Ponieważ jednak w Rosji nie może się nic dziać bez organizacji, więc i tu znajdują się urzędowi kierownicy, obejmujący funkcje wodzirejów. Zazwyczaj są nimi młodzi komsomolcy, udzielający muzyce wskazówek, jak i co ma grać, najważniejszem jednak zadaniem ich jest wciąganie do ogólnej zabawy tych nieśmiałych, którzy nie mają odwagi sami zabrać się do wykazania swych choreograficznych umiejętności.

Taki wodzirej musi być jednocześnie nauczycielem. Co pewien czas, gdy jakiś walc lub polka dostatecznie zmęczą tańczących, zwraca się ów kierownik do przyglądającej się publiczności i zapowiada pokaz, jak należy tańczyć foxtrotta, tango czy też trepaka. Najpierw muzyka gra w zwolnionem tempie, a on pokazuje każdy ruch nóg czy ciała, zwraca uwagę na trudniejsze figury, potem tańczy sam kilka taktów, wreszcie bierze z pośród publiczności pierwszą z brzegu dziewczynę i razem z nią rozpoczyna taniec. Zazwyczaj nie trzeba wtedy zapraszać otaczających go kołem widzów do wzięcia udziału w tańcu. Każdy chłopak i każda dziewczyna aż się rwie, żeby pokręcić się przy muzyce, ale jeśli zdarzy się, że publiczność nie ma odwagi zatańczyć, to wówczas ów wodzirej ma jeszcze inne sposoby zachęcenia. Każe muzyce grać walca, którego umiejętność jest powszechną, a gdy już pary się roztańczą, wówczas muzyka zmienia tempo i zaczyna się nowowyuczony taniec.

Nie trzeba chyba dodawać, że towarzyszy temu mnóstwo śmiechu i ogólnej radości.

Nietylko jednak w parkach publicznych odbywają się tańce. Istnieją jeszcze dancingi, w których też jest gwarno i radośnie. W Moskwie jest kilka dancingów, gdzie obok rdzennie rosyjskiej publiczności bawią się obcokrajowcy, zagraniczni dyplomaci czy dziennikarze. Codziennie gwarno jest w tych lokalach, specjalnie zaś w dni, poprzedzające odpoczynek. Pierwszorzędne, wieloosobowe orkiestry grają najnowsze szlagiery, z kryształowych żyrandoli leje się masa światła, a na parkecie tańczą zarówno starsi wodzowie partji, jak i młodzi udarnicy, komsomolcy.

Taki „proletarjacki" dancing niczem nie różni się od wieczorów w warszawskiej „Adrji" czy „Oazie". Kelnerzy są tak samo ubrani w białe smokingi, ozdobione numerkami, tak samo biorą napiwek, tak samo kłaniają się nisko gościom, zamawiającym droższe potrawy i napoje. Nastrój zgoła „burżuazyjny".

Jedyną różnicą jest — strój. Nie widać wytwornych toalet damskich, uszytych według paryskich modeli, nie widać białych gorsów w obramowaniu czarnych fraków. Kobiety są ubrane w skromne, codzienne sukienki, mężczyźni — w „kosoworotki" i długie buty.

Publiczność moskiewska tańczy to samo, co tańczą w Warszawie czy Paryżu. Może tylko trochę inaczej, może mniej wytwornie, trochę niezdarnie. Ale ochoczo, z życiem, werwą.

Rosja dzisiejsza pracuje i tańczy... Tylko nie wszysc, wcale nie wszyscy mają ochotę do tańca.

WACŁAW CZARNECKI.

Próba nerwów

Nowela Mony Gardner

Czarna służba bezszelestnie biegała po marmurowej posadzce, przynosząc i unosząc półmiski. Przy stole toczyła się ożywiona rozmowa. Zebrane towarzystwo znajdowało się w typowej w Indjach letniej rezydencji urzędnika kolonjalnego. Dom zbudowany z ciemnego drzewa, połączonego krokwiami, o szerokich drzwiach francuskich, otwierających się w obie strony, podobny był do zwyczajnego bungalowu.

Obiad trwał już od paru godzin i czerwony oryginalny burgund rozwiązał języki. Rozmowa nie była nazbyt głośna, osiągnęła jednak ten stopień ożywienia, przy którym każda uwaga wywołuje kaskadę śmiechu.

Dama w zielonej sukni zwróciła się do pułkownika Bentley'a:

— Pan sądzi, panie pułkowniku, że jesteśmy takiemi samemi kruchemi istotami, jakiemi były nasze babki?

— Muszę przyznać — odparł pułkownik — że kobiety obecnie już nie wyglądają tak krucho, ale jestem przekonany, że tak samo łatwo wzruszają się, jak kobiety z epoki wiktorjańskiej.

— Innemi słowy, — sądzi pan, że my wciąż jeszcze na widok myszy mdlejemy.

— Tego nie mówię. Z tego na szczęście, — albo może słuszniej będzie powiedzieć niestety — wyszliśmy. Bądźcobądź była to dla nas pyszna i interesująca zabawa podtrzymywać słaniające się panie i przywracać je do życia.

— Nie mogę sobie wyobrazić nic zabawniejszego, jak dostać w ręce stworzenie o wysubtelnionych nerwach i przywracać mu rozsądek — odezwał się do żartów zawsze skłonny Norman Scott. Nie wszyscy przy jego żartach umieli dojrzeć błyski, które wówczas w oczach jego igrały.

— Pan nie zrozumiał pułkownika Bentley'a — wtrącił Geoffrey Harris — pułkownik uważa, iż w wypadkach nieprzewidzianych kobiety nie potrafią tak panować nad nerwami, jak mężczyźni.

— Dosyć nerwów kosztuje to nas Geoffie, wieczne pilnowanie srebra stołowego przed kradzieżą — odparła jego mała nielogiczna, ale zato zachwycająca żona Ewa.

— Nie o tem mowa, moje dziecko. Chciałem powiedzieć, że gdyby nagle które z nas w domu spotkało się oko w oko z włamywaczem, to z pewnością jabym więcej okazał panowania nad sobą niźli ty.

— Naturalnie — wmieszał się znowu do rozmowy pułkownik Bentley — kobieta w krytycznym momencie reaguje krzykiem, gdy tymczasem mężczyzna, chociażby równie jak ona był wzruszony, posiada tę niezbędną odrobinę opanowania.

Norman z lekkim uśmiechem na ustach wodził oczami kolejno po wszystkich zajmujących miejsca dookoła stołu aż zatrzymał wzrok na twarzy gospodyni. Błysk przerażenia, który zauważył w jej oczach, po chwili minął. Niezwykły wyraz zauważył w jej twarzy. Rysy twarzy ściągnęły się, a wzrok jej znieruchomiał. Lekkim ruchem przywołała jednego ze służących i szepnęła mu coś do ucha. Służący rozwarł szeroko oczy i pośpiesznie się oddalił. Prócz Normana nikt z obecnych nie zwrócił na to uwagi. Nikt też nie spostrzegł, gdy służący w niespełna minutę wrócił i ustawił na werandzie miskę mleka nawprost szeroko rozwartych drzwi prowadzących do pokoju.

Lodowaty dreszcz przeszedł po ciele Normana. Ta miska mleka jednego tylko dowodziła, mianowicie, że w pokoju znajduje się kobra! Mleko mogło być jedyną przynętą, która odciągnęłaby ją od ludzi.

Norman rozejrzał się po pokoju, lecz nic osobliwego nie zauważył. Siedział on na szarym końcu stołu, daleko od gospodyni, lecz z miejsca, z którego mógł obserwować cały pokój, nigdzie nic podejrzanego nie widział.

W jednym kącie pokoju, który był poza jego polem widzenia, stała służba, gotowa do usług na każde skinienie. Tam więc kobra nie mogła się znajdować.

Pozostała jedyna możliwość. Stało się dlań rzeczą przeraźliwie jasną, że wąż może być tylko pod stołem. Pierwszym odruchem jego było wskoczyć i ostrzec gości, lecz momentalnie przyszła świadomość, że jedno szybkie poruszenie może przestraszyć kobrę, która wówczas zacznie kąsać.

Mózg jego gorączkowo pracował. Trzeba było coś począć do chwili, kiedy gad śmiercionośny nie zostanie znęcony zapachem mleka. Przypadkowe poruszenie jednej z pośród dwudziestu par nóg mogło w ciągu najbliższej sekundy przestraszyć i doprowadzić do wściekłości węża.

Nagle błysnęła mu myśl. Spokojnym, ale dobitnym głosem przerwał rozmowę:

— Uczynimy zaraz próbę, w jakim stopniu każdy z tu obecnych może nad sobą panować. Będę liczył do trzystu, co potrwa do 5 minut; przez ten czas nikt nie może żadnym mięśniem ruszyć. Kto poruszy się, zapłaci 50 rupij grzywny. Czy wszyscy gotowi? Zaczynam liczyć.

Zanim kto odpowiedział Norman już liczył:

— Raz, dwa, trzy...

Uśmiech zamarł na wszystkich twarzach. Dwadzieścia osób siedziało nieruchomo, jak kamienne postacie. Niektórzy przymknęli oczy, inni zapatrzyli się w przestrzeń. Norman wciąż liczył. Już zbliżał się do końca, a dotąd żadnego ruchu pod stołem nie zauważył.

— Dwieście siedemdziesiąt osiem... dwieście siedemdziesiąt dziewięć... dwieście osiemdziesiąt...

Nagle z pod stołu wynurzył się łeb, para ślepiów w kształcie pereł przez chwile podniosła się, poczem długie ciało węża poczęło toczyć się w stronę miski.

Gdy koniuszek ogona znalazł się po tamtej stronie drzwi, Norman skoczył i zatrzasnął drzwi.

Cztery czy pięć okrzyków rozdarło ciszę.

— Ma pan, zdaje się, rację, panie pułkowniku — rzekł gospodarz — nie ma co do tego wątpliwości, kto umie najbardziej nad sobą panować.

— Przepraszam, momencik — przerwał Norman — proszę o wyjaśnienie mi jednej sprawy. Pani Ewelino, skąd wiedziała pani, że kobra jest w pokoju?

Blady uśmiech zaigrał na jej twarzy, gdy odpowiedziała:

— Bo ona owinęła mi się dookoła nogi.

Jan Nepomucen Miller

Dziady w „Dziadach”

Każda epoka ma właściwy sobie sposób użytkowania historycznej tradycji literackiej. Teatr jest powołany do tego, by wznawiając sztuki historyczne, dać wyraz nowemu sposobowi ujęcia rzeczy starych i znanych, wycisnąć na nich piętno epoki, która stara się w nich odnaleźć pożywkę dla swojej aktualnej wrażliwości.

Na tem polega właściwa twórczość reżysera i inscenizatora.

Przyglądając się nowej, wspaniałej inscenizacji „Dziadów”, wystawionych w „Teatrze Polskim” w Warszawie w ujęciu Leona Schillera pozwolimy sobie na kilka uwag ogólnych o „Dziadach”, gdyż Schiller, wysuwając na czoło poematu Chór, urzeczywistnia na deskach scenicznych tę „zbiorowościową” koncepcję „Dziadów”, o którą kruszyłem kopię w „Na gruzach Grenady”.

„Dziady” rozpatruje się w krytyce naszej pod wpływem sugestji egotyzmu romantycznego niemal wyłącznie jako dokument życia wewnętrznego poety.

Gustaw i Konrad aktywizmem swoich bogatych perypetyj duchowych przesłaniają całkowicie tło objektywne utworu, na które niemal nie zwraca się uwagi.

Wychodząc z założeń indywidualistycznych, przypatrujemy się perypetjom duchowym bohaterów — Aniołka, Widma, Dziewczyny i wreszcie Gustawa. Z ich słów i gestów snujemy wnioski o ich przeżyciach, z owoców refleksji tych bohaterów domyślamy się intencji autora. Ramy tej sceny — obrząd „Dziadów” uważamy ze zewnętrzną czysto dekorację, ułatwiającą wypowiedzi bohaterów.

Takie podejście nie uwzględnia jednak należycie całości obrazu i stosunku części do ram, obejmujących poszczególne sceny.

Spróbujemy jednak spojrzeć na „Dziady” nie od strony przeżyć głównego bohatera, lecz na bohatera spojrzyjmy oczyma Chóru, który jest wszak reprezentantem ogarniającej jednostkę zbiorowości.

Chór w „Dziadach” pozornie nie odgrywa poważniejszej roli. Biernie przywtarza słowom Guślarza, swego przodownika.

Z przeżyć i walki wewnętrznej bohaterów wysnuwa marały budujące, wprawdzie, lecz uprzednio wypowiedziane już przez nich samych.

Echem wszak słów bohaterów:

„Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według bożego rozkazu...”

będą słowa Chóru:

„Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według bożego rozkazu...”

A jednak mimo tych pozorów absolutnej bierności Chóru, który zużytkowuje niejako mękę bohaterów dla zbudowania się i pomnożenia zapasów swej mądrości życiowej, jest w tym stosunku osób działających do Chóru coś zagadkowego.

W dramacie starożytnym Chór był naogół biernym widzem i świadkiem losów bohatera, współczującym z nim, snującym z przeżyć bohatera prawdy ogólne. Bierność swoją Chór Sofoklesa doprowadzał czasem do komizmu i absurdu, gdy w Antygonie np. przysłuchując się walce duchowej ojca i syna, Kreona i Hajmona nie ośmieli się wyrazić własnego zdania, lecz choć jeden mówi czarno, na co drugi — biało, Chór, obawiając się narazić któremuś z działających bohaterów, zechce pogodzić te sprzeczności, głosząc, że „obaj mądrze prawią”.

Ten Chór niewątpliwie zatracił już wszelkie poczucie prawdy, albo ją ukrył tak głęboko pod korcem, ale ujawni ją wtedy, gdy będzie już całkowicie bezużyteczna. Nie jest to jednak postawa typowa i charakterystyczna dla Chóru antycznego.

W tragedjach Ajschylosa chór odgrywa rolę przeważającą, a pieśń chóralna, pełna głębokich myśli i uczuciowej sugestji panuje nad dramatem, wysuwa się na czoło zainteresowań, usuwa w cień samo działanie, stając się tylko podnietą i pobudką do wypowiedzi chóru, stanowiących pod względem wagi myślowo uczuciowej rdzeń utworu.

To co w tregedji attyckiej wypłynęło ze stosunków politycznych, z istoty ustroju demokratycznego Aten w w. V i przyczyniło się do uprzedmiotowienia roli chóru, w pewnej mierze powtórzyło się w dramacie romantycznym choć na innem podłożu. Romantyzm odziedziczył po racjonalizmie Rousseaniczne przeświadczenie o wyższości człowieka prostego nad cywilizowanym. Wola ludu była źródłem władzy dla rewolucji francuskiej, dla romantyków lud stał się strażnikiem wiedzy samorodnej, instynktownej, intuicyjnej, wiedzy płynącej z obcowania z pierworodną córką Boga przyrodą, z gromadzkiego przez wieki doświadczenia pokoleń. W pieśniach, podaniach, legendach ludowych szukano nietylko nowych form poetyckich, lecz i nowej prawdy. „Gawiedź”, prostota” nie jest dla Mickiewicza wcale terminem nagannym. Człowiek prosty Byrona, Goethego ma zawsze jakąś prawdę w sobie, którą góruje nad chaosem życia wewnętrznego człowieka strawionego kulturą.

To uwielbienie abstrakcyjne ludu, choć nie odpowiadało zupełnie ówczesnym stosunkom politycznym i społecznym w tym okresie reakcji i świetego Przymierza, grzebiącego dorobek Wielkiej Rewolucji Francuskiej, pozostało jednak jako motyw literacki, posiew trwały liberalizmu i demokratyzmu, czekającego na swoją godzinę w r. 48.

Mickiewicz po latach w wykładach paryskich, w r. 1843 domaga się (A. Mickiewicz. Literatura słowiańska. Lekcja XVI 4 kwietnia 1843 r.) dramatu prawdziwie słowiańskiego, któryby zespolił pierwiastki dramatu greckiego z motywami misterjów chrześcijańskich, obejmujących świat widzialny zarówno jak i niewidzialny. Mówiąc o „Nieboskiej”, a mając na myśli prawdopodobnie i „Dziady”, tak widocznie oparte na wzorach misterjów w pomieszaniu trzech sfer rzeczywistości (nieba, piekna i ziemi) i wysunięciu roli chóru na modłę dramatu greckiego, Mickiewicz radby między aktorów wprowadzić samego poetę. Uważa również, że „powszechne budowy teatralne pozostały daleko wtyle na drodze ruchu dramatycznego”. „W cyrku jedynie dałyby się jakkolwiek wyprowadzić na scenę bohaterskie masy ludu, tak dzisiaj przeważne w życiu społecznem”.

Te poglądy i dążenia Mickiewicza nie są, jak widzimy, wcale nam obce, odpowiadają całkowicie nowym próbom (u nas — L. Schillera) wprowadzenia pierwiastków kolektywnych do teatru i dramatu. Świadczyłoby to nadto w każdym razie o tem, że Mickiewicz owym „masom ludu” musiał przypisywać niemałe znaczenie, domagając się dramatu i sceny, którąby w pełni ten przyczajony aktywizm ludowy mogła wyrazić.

Stwierdzimy zarazem, że sam dokonywa tego procesu programowo i przekornie w „Dziadach”, odwołując się w tym utworze do przyczajonej, niemej — lecz aktywnej w swojem wiekuistem oczekiwaniu, trwałej w nieustępliwości na wpływy postronne — psychy ludowej, której wyrazicielem staje się ten bierny pozornie świadek walki tragicznej olśniewającego nas swoim przepychem wewnętrznym bohatera — Chór.

Mickiewicz w „Dziadach”, których sam tytuł przecież jest programowem przeciwstawieniem się wszelkiej próbie indywidualistycznej interpretacji dramatu i historyczną aluzją do cytowanych dramatów Ajschylosa, wzorem ojca tragedji greckiej stara się odsłonić zaprzepaszczone przez wieki, pokryte warstwą dziejowego żużlu i kurzu bibljotecznego, zlekceważone przez intelektualistów pokłady głębinowe psychiki zbiorowej.

Chórowi rzeczywistemu, składającemu się, jak chce scenarjusz, z wieśniaków i wieśniaczek, towarzyszy niewidzialny lecz żywy i budzący grozę chór „Dziadów”, wobec którego chór rzeczywisty zachowuje pełnię zbiorowego oczekiwania trwogę i uległość. Wszystko jest możliwe:

„Ciemno wszędzie, głucho wszędzie
Co to będzie, co to będzie?”

W niespokojnem biciu zbiorowego życia chór dosłuchuje się w ciszy nocnej nieodpartego głosu wszędzie obecnych przodków, którzy w imię odwiecznych praw duchowej wspólnoty między światem żywych i umarłych, ferują nieomylne wyroki, mające podciągnąć żywych do poziomu życia idealnego.

Niedarmo motto Szekspira, zwraca się przeciwko wątpiącym o wszystkiem filozofom. Sam Gustaw później nie jest pozbawiony cechy jałowego i indywidualnego mędrkowania, któremu Mickiewicz przeciwstawia tradycyjną wiedzę ducha, znajdującego się w posiadaniu „Dziadów” i ich żywego, choć pełnego zbożnej pokory wobec swego mocodawcy, wcielenia chóru.

Osoby działające — grzesznicy, wyłączeni poza obręb zbiorowości i komuny duchowej z przodkami, z dziejów swoich wysnuwają morały, którym chór przywtarza, aprobując je i wgarniając w zasób swojej wiedzy i doświadczenia moralnego. Wydaje się, że Chór w tym wypadku odgrywa rolę bierną, pozwalając obdarzyć się nową prawdą przez jednostkę, której życie jest zaprzeczeniem tej prawdy, a pokuta świadectwem jej prawdziwości.

W rzeczywistości jednak dzieje się odwrotnie. To nie jednostka obdarza chór nową prawdą, która zbogaca zasób zbiorowej wiedzy i doświadczenia, lecz chór w niemem, pełnem wyrozumiałej mądrości wyczekiwaniu doczekał się nawrócenia jednostki na drogę prawdy, której od początku był czujnym strażnikiem. Z szeregu najrozmaitszych wypowiedzi bohaterów chór wybiera te, które odpowiadają jego stanowisku i nadaje im moc obowiązującą swojem potwierdzeniem.

To nie jednostka obdarza chór wiedzą, której przedtem mógł nie posiadać, lecz wręcz przeciwnie — chór pozwala jednostce w zmaganiu i walce wewnętrznej, w dywagacjach o bliźnierczej i niesfornej amplitudzie wahań **dorastać** do siebie, swojem opornem, niezgodnem milczeniem zwracając ja z rozchylonych szeroko ramion amplitudy do pozycji stałej, pionowej — prawdy moralnej, która ustala **wspólną** platformę z chórem i Dziadami, z gromadą żywych i umarłych — w prawdzie trwałej, zawiązującej wspólnotę duchową między jednostką i zbiorowością.

Morały końcowe („Bo słuchajmy, i zważmy...”), wypowiedziane przez Aniołki, Widmo, Dziewczynę i Gustawa, byłyby więc tą normą powszechną życia zbiorowego, do którego jednostka dorasta po przezwyciężeniu zgubnego dla niej etycznie indywidualizmu, opłaconego czyśćcową katuszą.

Mickiewicz w „Dziadach” więc, wzorem Ajschylosa, zwraca się do zamierzchłych, głębinowych pokładów czucia zbiorowego, przyczajonego w najprostszych kanonach etyki ludowej, wskazując jednostce nawet tak bogatej, tak pięknej w odrębności swego życia indywidualnego jak Gustaw i Konrad — drogę wyrównania tych rozbieżności przez podporządkowanie się normie życia ogólnego, wzniesienia się jednostki do komuny z gromadą.

**
*

Przez odpowiednie wyzyskanie oprawy muzycznej i dekoracyj, łączących scenę pierwszą z ostatnią w stopniowem narastaniu poszczególnych obrazów —bez usuwania kolejnych etapów scenerji (trzy krzyże górują nad całością wizji scenicznej nawet na balu u Senatora)—stworzono widowisko wspaniałe, misterjum wtajemniczenia o wysokiem napięciu, podniosłe i zharmonizowane.

Czy jednak Warszawa, przeżywająca swoje najwyższe wtajemniczenia w „Adrji” i „Oazie”, na rewjach i operetkach zniesie to misterjalne napięcie bez szkody dla swego błogostanu, za to trudno zaręczyć, gdyż pomimo oficjalnego kultu dla „wielkiej poezji” — największem uznaniem w „stolicy” cieszy się poezja kabaretowa.

A szkodaby była tego olbrzymiego wysiłku zarówno inscenizatora, dekoratora (Andrzeja Pronaszki) jak i zharmonizowanej gry całego zespołu z Józefem Węgrzynem w roli Gustawa-Konrada na czele. (Elżbieta Barszczewska świetnie się wywiązała z roli Dziewicy, G. Buszyński — z roli Guślarza), gdyby to dzieło zbiorowe nie znalazło należnego uznania u szerszej publiczności.

T. K. K. T., jeżeli istotnie ma spełnić rolę, do której zostało powołane, powinno się zatroszczyć, by widowisko o takich tradycjach literackich udostępnić dosłownie dla wszystkich, by się zatroszczyć o odpowiednie zorganizowanie dopływu widzów, którym może nieraz, jak w czasach Peryklesa, należałoby raczej płacić niż od nich wymagać zapłaty.

Wśród nowych książek

Grudzień — dla sprawozdawcy niebezpieczny miesiąc. Okres „gwiazdkowy” wywołuje znaczne ożywienie produkcji wydawniczej, wskutek czego na biurko recenzenckie spada istna lawina książek wszelkiego rodzaju i wartości, wali się niebotyczna piramida wydawnictw, wołających o prawo publicznej prezentacji. Oczywiście, kryzys i w dziedzinie wydawniczej zrobił swoje: nakład ogólny książek spadł w Polsce w porównaniu z r. 1928 przeszło o połowę. Mimo to, grudniowa lawina nowości wciąż jeszcze zagraża poważnie bezpieczeństwu i spokojowi wewnętrznemu recenzenta. Aby się skutecznie bronić przed groźnym zalewem drukowanych kartek, trzeba zastosować metodę selekcji. Rezerwując przywilej obszernych sprawozdań dla pewnej tylko części wydawnictw, pozostawia ona reszcie bardziej wąskie prawo do sumarycznej i zwięzłej oceny. Nie twierdzę bynajmniej, że ta metoda w każdym poszczególnym wypadku daje wynik odpowiadający ideałom sprawiedliwości doskonałej, trudno bowiem o absolutnie pewne i niezachwiane kryterja selekcyjne. Ale znajomość rzeczy oraz — intuicja mają swe znaczenie — i dlatego sposób opisany uważam praktycznie za najlepszy, bo pozwalający recenzentowi wybrnąć z opresji obronną ręką i z zachowaniem względów należnych czytelnikom, autorom i — wydawcom.

Kończę to krótkie i elegijne (choć wigilijne) expose, przechodząc odrazu do — obowiązków bezpośrednich. Obfitością produkcji wyróżnia się spośród innych firm wydawniczych **„Rój”**, którego „Serja nowa” utworzyła w ciągu jednego roku bardzo już pokaźną bibljotekę. Z nowości „Roju” wspomnimy tu przede wszystkiem o wesołej powiastce **P. Moranda** p. t. **„Max Kron kręci film”**, która jest złośliwą satyrą na stosunki we francuskim świecie filmowym, opanowanym przez ciemne typy międzynarodowych aferzystów i oszustów. Ich to właśnie z werwą i humorem atakuje autor „Swawolnej Europy”, ukazując podejrzanych „bohaterów” metodą dynamiczną, w akcji nakręcania „superszlagiera” kinowego Szkoda, że groteska Moranda, w której dźwięczą nuty szerzącej się dziś wśród Francuzów ksenofobji, przetłumaczona została nieświetnie, przez co zatraciły się niemal zupełnie właściwości i zalety bardzo indywidualnego stylu autora.

Licznych czytelników znajdzie zapewne fantastyczna powieć **W. Niezabitowskiego** p. t. **„Golfsztrom”**, oparta na pomyśle zamrożenia Europy przez zmianę kierunku prądu golfowego. Temu piekielnemu pomysłowi amerykańskiego szaleńca-dyktatora przeciwdziała skutecznie zakochany w córce jego lotnik — Polak. Zajmująca fabuła, żywa akcja czynią z tej książki lekturę przyjemną i lekką. Interesująca jest również awanturniczo-romantyczna powieść **G. O. Baxtera** p. t. **„Pościg”**, której perypetje rozgrywają się w malowniczych okolicach amerykańskiego Wild-Westu. Dobry przekład J. P. Zajączkowskiego.

Piękną i pełną patosu niezwykłej rzeczywistości jest książka **Stefanji Sempołowskiej** p. t. **„Na ratunek”**, poświęcona dziejom katastrofy balonu sterowego „Italia” i bohaterstwu wypraw ratowniczych Amundsena i statków sowieckich. Książka oparta na materjale ściśle i całkowicie autentycznym staje się miejscami jakby poematem, opiewającym bezmiar ofiarności i poświęcenia, oddanych sprawie pomocy dla ginącego człowieka. O kilkunastomiesięcznym pobycie na dalekiej Wyspie Niedźwiedziej, położonej pomiędzy Spittzbergenem a Przylądkiem Północnym, opowiada żywo, przystępnie i zajmująco inż. **Cz. J. Centkiewicz**, kierownik pierwszej polskiej wyprawy polarnej, w książce p. t. **„Wyspa mgieł i Wichrów”**. Jest to kronika przeżyć i wrażeń trzech — należących do wyprawy— młodych Polaków, którzy w charakterze członków ekspedycji roku polarnego 1932-33 przebyli w celach naukowych na samotnej wysepce zgórą rok, wśród lodów, wichrów i mroków Dalekiej Północy. Książki Sempołowskiej i Centkiewicza zdobią liczne zdjęcia fotograficzne.

O innych wydawnictwach „Roju”, jak powieści **H. Dąbrowolskiej — „Praca i Miłość”** i **J. Waśniewskiego — „Ognie w pirytach”** oraz powieści autorów sowieckich **L. Leonowa — „Złodziej”** i **Al. Tołstoja — „Eksperyment inż. Garina”** — znajdziemy okazję pomówić obszerniej.

„Wydawnictwo Współczesne”, poza tomem nowel **Adama Herszafta — „Syn Apollina”** (debjut ten omówię szerzej przy najbliższej sposobności), wydało drugi tom bardzo ciekawych i cennych wspomnień **Al. Goldenweisera** o Tołstoju p. t. **„Tragedja Jasnej Polany”**. Ta część wspomnień dotyczy ostatniego roku życia autora „Wojny i Pokoju” — i kończy się dramatycznym — choć pełnym prostoty — opisem śmierci Tołstoja na niewielkiej stacyjce Astapowo Był to, jak wiadomo, epilog ucieczki osiemdziesięcioletniego starca z rodzinnego domu, ucieczki wywołanej coraz większemi trudnościami małżeńskiego pożycia z despotyczną, chciwą i obcą duchowo Tołstojowi kobietą. O pierwszym tomie pamiętnika Goldenweisera pisałem w Nr. 415 „Robotnika”. — Morska historja utalentowanego **A. Nowikowa-Priboja** p. t. **„Kobieta na okręcie”** z realistycznym humorem przedstawia „rewolucję” wśród załogi okrętu, podekscytowanej obecnością nowoprzyjętej, młodej i ładnej bufetowej. Bezpretensjonalna humoreska już-już ma się przeobrazić w dramat zazdrości: szczęściem, okoliczności zewnętrzne (pożar obcego okrętu i akcja ratunkowa) likwidują pomyślnie zatargi osobiste i kierują intrygę miłosną na spokojne tory.

Wydawnictwa **J. Przeworskiego** wyróżniają się korzystnie zarówno doborem treści, jak wyjątkowo starannym kształtem graficznym. Ostatnio ukazały się: — sensacyjna publikacja **Roma Landaua** p. t. **„Paderewski”**, poświęcona niepowszedniej postaci artysty i męża stanu, oraz obszerna i szczegółowa książka holenderskiego lekarza dr. **Th. van de Velde — „Małżeństwo doskonałe”**, traktująca o zagadieniach fizjologji i techniki stosunków małżeńskich, celem oparcia wspólnego pożycia na właściwych przesłankach pełnej i wszechstronnej harmonji. Do wydawnictw tych powrócimy w niedalekiej przyszłości.

„Płomień” wydał głośną książkę **G. Papini'ego — „Skończony Człowiek”**, w doskonałem tłumaczeniu Edwarda Boye. Jest to pamiętnik psychologiczny znakomitego pisarza włoskiego, rodzaj autobiografji, zawierającej „bieg wewnętrznych przeżyć”. Papini należy do najciekawszych indywidualności autorskich na obszarach literatury współczesnej. Natura bujna, chłonna i niespokojna kazała autorowi „Pamiętnika Pana Boga” czerpać z najrozmaitszych źródeł filozoficznych i religijnych. Papini był kolejno pragmatystą i zwolennikiem buddyzmu, futurystą i ateuszem, zanim zdecydował się w r. 1919 powrócić do katolicyzmu, — napewniej dlatego, że uważa Chrystusa za największego rewolucjonistę świata. Bo Papini, ten — jak sam siebie nazywa — „sentymentalny mizantrop”, przyszedł na świat „z chorobą wielkości w łonie”. Żywiołem jego jest protest, bunt i walka („jakikolwiek będzie rząd stojący u steru, zawsze pozostanę w opozycji”...); dlatego też język, którym przemawia drga namiętnością i cierpieniem targanego burzą wewnętrznych szamotań — człowieka. Książka Papini'ego jest rzadkim wzorem zupełnego zespolenia treści z formą — i już z artystycznego choćby punktu widzenia stanowi zgoła nieprzeciętne zjawisko. —

Powieści wydane przez tę firmę omówimy osobno.

„Dom Książki Polskiej” przypomniał **„Anarchistów”** (wyd. trzecie) — **W. Gąsiorowskiego.** Praca ta zawiera sporo pożytecznych informacyj o anarchiźmie wogóle i przedstawicielach tego kierunku myśli ludzkiej „Anarchizmowi” nadaje jednak autor znaczenie zbyt rozległe, a quasi-filozoficzne komentarze tu i ówdzie rozsypane w książce budzić muszą liczne zastrzeżenia. — Tegoż autora **„Fajka Batorego”** jest zbiorem nowelistycznych drobiazgów i opowiadań, napisanych żywo, niekiedy z humorem, lecz bez specjalnych aspiracyj artystycznych. Jedne z tych opowiadań mają tło historyczne, drugie związane są z bardziej nowoczesnym okresem wojny światowej, inne wreszcie, niepozbawione dość ostrych akcentów satyrycznych odnoszą się do współczesnej rzeczywistości polskiej (np. „Orjentacje”). Te ostatnie są bodajże najbardziej udałe i w konturach swych wyraźne.

Nakładem **S. A. Krzyżanowskiego** w Krakowie ukazała się książka znanego publicysty **W. Natansona** p. t. **„Chwyty i zachwyty”**. Autor, krytyk-„entuzjasta”, nie zawodowiec, daje tu obfity zbiór felietonów, szkiców i recenzyj teatralnych, wrażeń z przeczytanych książek, drobnych artykułów literackich i t. p. Utrzymane przeważnie w formie miłej, inteligentnej i kulturalnej gawędy, prace te świadczą dodatnio o rozległości zainteresowań i estetycznej wrażliwości autora. Posmak aktualności mają m. in. uwagi o teatrze hitlerowskim i o głośnej sztuce Johsta p. t. „Schlageter”. Książkę Natansona przeczytają z satysfakcja wszyscy „ludzie teatru”.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI.

Stanisław Ryszard Dobrowolski

O polską ewangelję poetycką

Czem jest dla nas niepodległość? — dla nas t. zn. dla najmłodszych pisarzów polskich, dla pokolenia, które ledwie pamięta ostatnie dni niewoli, — dla którego te dni są zamierzchłem wspomnieniem dzieciństwa?

W ten sposób sformułowane pytanie otwiera jednocześnie tyle perspektyw, ukazuje tak dalekie horyzonty, że odpowiedzieć na nie wyczerpująco w ramach drobnego szkicu bez uciekania się do skrótów — niepodobna.

Przypadło mi w udziale niejako reprezentować tu nieoficjalnie głos tego pokolenia. Obawiam się jednak, że podobne ujęcie sprawy obarcza zbyt wielką odpowiedzialnością, wobec ewentualnej różnicy zdań wśród ogromnej rzeszy wśród mych rówieśników i współkolegów.

Będę więc mówił sam za siebie i tylko w swojem imieniu. Takie — bardziej, mimo pozorów, pojednawcze stanowisko nie zmieni zasadniczej istoty zagadnienia, a mnie rozwiąże język, — przez co samo będziemy bliżsi prawdy. A tylko o prawdę tu idzie.

Czem więc jest dla nas niepodległość, ściślej: czem jest dla mnie niepodległość?

Każda próba odpowiedzi na to pytanie narzuca nieuchronnie drugie, — bez którego rozwiązania odpowiedź pusta, książkowa, raczej podręcznikowa, bez tej istotnej treści, na którą czekamy.

Czem więc była dla mnie niewola?

Otóż — trzeba to wyraźnie zaakcentować — pokolenie moje tego okresu prawie — że nie zna. Pamiętamy raczej narodziny wolności. Przyszedłszy na świat w przededniu wielkiej zawieruchy wojennej widzieliśmy oczyma dziecinnemi pełen bohaterskiego patosu obraz walki wyzwoleńczej, ale większość z pośród nas nie brała czynnego udziału nawet w ostatniej, decydującej rozgrywce. Czyli — urodziliśmy się już wolni.

Niewola — przynajmniej dla mnie — to prehistorja. To coś, jak podanie o Krakusie i o smoku. Smoka wprawdzie dobijano jeszcze na naszych oczach, — ale co to znaczy!? Sprawa, w której nie brałem bezpośredniego udziału choćby oku piona krwią i trudem najbliższych, była dla umysłu chłopięcego tylko czemś, jak patetyczne misterium. Niemal jak gra w Indjan.

To nie znaczy, abym teraz nie znał wagi tego wspaniałego faktu. Nie. Żeby zrozumieć psychologję omawianego zjawiska, przypomnijmy sobie dziecko klaszczące nieraz w dłonie wobec wypadku, mrożącego krew w żyłach dorosłych. Jeśli dodamy, że wojna jest popularną zabawą chłopców — wiele przez to się wyjaśni.

Najbardziej dalekie, mgliste wspomnienie niewoli, to stójkowy na ulicy Marszałkowskiej. Coś o tym stójkowym widocznie się kiedyś mówiło, bo dotychczas nie mogę się otrząsnąć z nienawiści do stójkowych. W tym sensie wychował mnie ojciec konspirator i niepodległościowy rewolucjonista.

W wiele lat potem mało nie wylano mnie ze szkoły za jakąś konspirację. Szkoła — rozumie się — była polska. Fakt ten, to oczywisty ślad niewoli: w domu ojca widziałem za okupacji konspiracyjne zebrania.

Tak samo nie rozumiem dotychczas, co to znaczy pozwolenie na posiadanie broni. Ojciec przez całe życie posiadał broń bez niczyjego pozwolenia — i to w czasach, kiedy groziły za to znacznie surowsze kary, niż dzisiaj.

Do dziś nie cierpię zapachu dziegciu. Dziegciem czuć było szynele moskiewskich żołnierzy. I t. d. i t. d.

Dalsze mnożenie podobnych faktów nie ma sensu. Trzebaby o tem napisać osobną książkę, nim w duszy zatrą się te ostatnie, drobne ślady niewoli.

Snując podobne wspomnienia nie sądzę, abym zbytnio odbiegł od tematu. Wracajmy jednak do głównego wątku.

Najbardziej zamierzchłe wspomnienie, które mogę już nazwać literackiem, — coś, jak Kadłubek w historji, to nie „Reduta Ordona", nawet nie „Pan Tadeusz", — jak to zwykle bywa w patrjotycznych powieściach. To mała książeczka, tej wielkości, jak do nabożeństwa, — w czerwonej okładce. Dobrze nie pamiętam, ale dziś mi się wydaje, że na okładce był wytłoczony biały orzełek. Może zresztą późniejsze jakieś skojarzenie. Książeczkę znalazłem w domu mego dziadka. Mój dziadek jeszcze żyje i może to potwierdzić. Kiedy to było, — trudno mi ściśle ustalić, ale napewno jeszcze przed wybuchem wojny. Oczywiście — w Warszawie.

Z książeczki wysylabizowałem najpierw piosenkę, z której jedno zdanie dobrze utkwiło mi w pamięci:

„Nas nie zgnębią Majery, Skałony"... Do dziś nie wiem dokładnie, kim był ów Majer. Minęło dwadzieścia lat. Jakoś tak upłynęły — niewiadomo kiedy. Przyszły sprawy ważniejsze. I nie dowiedziałem się nigdy, kim był ten Majer. Coraz mniej osób obecnie umie o nim coś powiedzieć. Sądząc z zestawienia, był to ktoś taki, jak Skałłon. A kim był Skałłon wiedziałem już, zdaje się, nawet wtedy. W każdym razie od tamtej pory nie cierpię nazwiska Majer. Skałłona mogę sobie darować. To nazwisko powtarza się jeszcze z historyczną nienawiścią i dzisiaj w licznych wspomnieniach uczestników polskiej irredenty. Ja — znienawidziłem Majera.

Prócz tej piosenki o Skałłonie było w książeczce wiele innych. Dobrze pamiętam polonez:

„Patrz, Kościuszko na nas z nieba..."

I dalej:

„Ktoby twierdził, że Moskale,
to są bracia nas, Lechitów, —
temu pierwszy w łeb wypalę
przed kościołem Karmelitów..."

Dlaczego akurat „przed kościołem Karmelitów", tego długo nie mogłem zrozumieć. Szczerze mówiąc, — i dziś nie jestem pewien, czy umiałbym to trafnie wyjaśnić.

Były tam jednak teksty bardziej niepokojące. Naprzykład:

...„powstań, ludu ziemi!..."

Co znaczy „Ludu ziemi"?

„Wciąż płyną ludu gorzkie łzy..."

Dlaczego?

Tego wcale nie mogłem zrozumieć. Wprawdzie rozumiałem, co znaczy „płyną łzy", ale dlaczego „wciąż"?

Ilekroć sam płakałem, obiecywano mi zawsze coś przyjemnego, — i płacz ustawał. Długo płakałem tylko wtedy, kiedy nie dotrzymywano mi obietnic.

Aha! Widocznie temu ludowi nie dotrzymywano nigdy obietnic. To pewnie ten „Majer"! Byłem już na połowie drogi do prawdy, kiedy wybuchła wojna.

Ot, co pozostało mi po niewoli!

Wybuch wielkiej wojny i jedna z najoczywistszych jej konsekwencyj — odrodzenie niepodległego państwa polskiego, — te dwa fakty wywołały w duszy i myśli małego chłopca reakcje, które nie były niczem innem, jak tylko echem wstrząsu dokonanego w duszach i umysłach dorosłych. Inaczej być nie mogło.

W pamiętne dni listopadowe 1918 roku ojciec mój chorował na hiszpankę. Na wieść o ruchawce wstał z łóżka i rozgorączkowany, mimo protestów matki, poszedł „rozbrajać Niemców".

Podobny entuzjazm nie mógł nie udzielić się jedenastoletniemu chłopcu, który rozumiał już znacznie więcej, niż podówczas kiedy odkrył wspomniany śpiewnik rewolucyjno-patrjotyczny w mieszkaniu swego dziadka. Cała nienawiść do owego mitycznego „Majera" przelała się teraz na Niemców.

Niemcy byli ostatnią przeszkodą na drodze do odzyskania niepodległości, o której już mówiono w szkole, o której tyle słyszałem na konspiracyjnych zebraniach Frakcji Niepodległościowej w domu ojca, o której wreszcie tak pięknie pisało w pamiętnej książeczce.

Ale podówczas sam jeszcze wierszy nie pisałem — i wstrząs, jaki wraz z odzyskaniem niepodległości dokonał się w piśmiennictwie polskiem, w poezji polskiej, mnie nie dotknął. Przeszedł obok mnie.

Ten wstrząs uderzył w pokolenie Żeromskiego, nawet w pokolenie bezpośrednio mnie wyprzedzające, ale nie w nasze.

Nasza twórczość wyrosła w atmosferze niepodległości.

Mimo to, — i tym razem przewrót dokonany w umysłach starszego pokolenia nie pozostał — i nie mógł pozostać bez wpływu na charakter naszej twórczości.

Fakty, które przeszły obok nas, swemi konsekwencjami obciążyły nas samych. Ale wnioski z tych faktów, rzecz zrozumiała, wyciągnęli pierwsi ci, co te fakty tworzyli.

I znów reakcja naszych kształtujących się dopiero umysłów była — i musiała być tylko echem reakcji naszych poprzedników.

Podobnie, jak wobec faktu odzyskania niepodległości entuzjazmowałem się entuzjazmem swego ojca, tak samo wobec związanych z tem faktów literackich większość nas myślała kategorjami pojęć poprzedniego pokolenia.

Tu tkwi zapewne istota nieporozumień leżących u podstaw wielokrotnie czynionych nam zarzutów egoizmu. Inaczej być nie mogło. Wobec faktów, jakie się dokonały, różnić się z pokoleniem irredenty polskiej nie mogliśmy.

Nie bez znaczenia było tylko to, że sugestja tych faktów wobec nas nie była tak silna i tak przytłaczająca, jak wobec tamtych.

Jak wyglądała literacka reakcja niepodległościowa — wiemy.

Papież polskich twórców, Żeromski, określił sytuację mniej więcej w ten sposób, że oto niepodległość rozwiązała ręce artystom, uwalniając ich wreszcie od brzemienia troski narodowej. Jak myślano — zaczęła się nowa epoka dla piśmiennictwa polskiego, — że tak powiemy — artystowska.

Tego samego zdania byli prawie wszyscy pisarze, z tem zdaniem spotykamy się jeszcze i dziś. Odrodzone państwo, myślano, rozwiąże wszystkie bolesne węzły, przejmie na siebie wszystkie trudy, z któremi przez półtora wieku borykał się pisarz polski, polski poeta. Ale rzeczywistość zadała kłam tej lekkomyślnie rozświetlonej przed umysłami złudzie. Sam Żeromski wkrótce już musiał ten przytoczony sąd porachować w liczbie innych swych pomyłek. Świadczy o tem „Przedwiośnie".

Powiedziałem: była to lekkomyślna złuda. Tak. Lekkomyślna, — bo gdyby wszyscy, co podobnie sądzili, cofnęli się myślą głębiej w historję piśmiennictwa polskiego, kultury polskiej, dostrzegliby, że nie upadek niepodległości narzucił pisarzom polskim troskę o byt narodu — i nie fakt odzyskania niepodległości ich od niej uwolni.

Bo oto od Reja, ba! wcześniej, od Ostroroga poprzez wszystkich twórców złotego wieku, aż po pisarzy epoki stanisławowskiej ciężar tej troski nie przestaje umęczać dusz conajwznioślejszych.

Wniosek zapośpiesznie wyciągnięty okazał się błędem w prostym rachunku, błędem, za który niejeden poeta epoki poniepodległościowej zapłacił unicestwieniem swego społecznego znaczenia.

Teraz obserwujemy jeszcze, jak gwałtownie dokonywa się wycofywanie ze zbyt pośpiesznie zajętych stanowisk artystowskich, jak wielu z pisarzy usiłuje przełamać zaczarowany krąg sztuki dla sztuki — tego hasła, które po odzyskaniu „własnego śmietnika" wydawało się najaktualniejsze.

Brzemię, z którego tak radośnie chciano się otrząsnąć okazało się jedną z cech istotnych naszego piśmiennictwa, — nieprzemijającym walorem na przestrzeniach kultury.

W owym patrjotycznym śpiewniku, o którym wspominałem na początku, były obok Mazurka Dąbrowskiego, — wtedy te rzeczy się kojarzyły, — i inne cytowane przezemnie teksty, bardzo niepokojące młodociany umysł.

Teraz żywo stanęły mi w pamięci. Przypomniałem sobie stamtąd wiele innych piosenek, których sens kiedyś mało dla mnie był zrozumiały.

Maleńka, zakurzona książeczka, — nielegalny śpiewnik patrjoty polskiego — zawierała i takie np. zdanie:

„Porządek stary już się wali..."

Zrozumiałem, że rozgryzienie sensu tego wersetu, to najistotniejszy problem chwili. To zdanie stało się teraz punktem wyjścia dla ideologicznych poszukiwań. Zacząłem tropić w niepodległej już Polsce owego mitycznego „Majera", który nie miał nas zgnębić, jak zapewniała piosenka.

W ten sposób mały śpiewnik urósł do rozmiarów ewangelji poetyckiej.

W tym sensie przesunęła się według mnie — cała czołowa linja polskiej myśli twórczej w literaturze.

Najistotniejsza jej cecha — jak już wskazałem — nie została zatracona. Przesunął się tylko nieco środek ciężkości — i oś zagadnienia.

W nowych warunkach bytu narodowego zmodyfikowało się, zmodernizowało — można powiedzieć — pojęcie troski pisarza o naród. Troska ta stała się bardziej międzyludzką.

Gdy naród wraz z wolnością odzyskał i swą godność, i należne mu miejsce pośród innych narodów, — troska ta stała się przez to samo międzynarodową, albo, jak to lepiej jeszcze określił Norwid — nadnarodową.

Pisarzom, których twórczość poczęła się już w epoce niepodległościowej, a więc nieulegającym pewnym sugestiom zrozumiałym u pokolenia, które walczyło o niepodległość, łatwiej przychodzi wdzierać się na nowe i wieczyste pozycje sztuki nadnarodowej, aby w ten sposób posunąć się o jeden krok, o jeden stopień wyżej w hierarchji przeznaczeń.

W podkładach kultury polskiej najmłodsi pisarze doszukują się podstaw dla tej nowej sztuki nadnarodowej. Takiem odkryciem — jest Norwid.

* * *

Pośród tego, po śmierci mego ojca, zaginął gdzieś ów nielegalny niegdyś śpiewniczek patrjoty polskiego, w którym obok „Jeszcze Polska nie zginęła" pisało: „my nowe życie stworzym sami i nowy zaprowadzim ład". Zagubiła się gdzieś odkryta przezemnie u zarania niepodległości polska ewangelja poetycka.

Korzystając ze sposobności, zwracam się z wezwaniem do wszystkich mych współrówieśników, do wszystkich młodych pisarzy polskich, jeśli który z nich ją odnalazł, niechaj jej nie ukrywa.

KOLĘDA

**Nie my biegliśmy do stajenki
kłaniać się Tobie i aniołom:
dosyć nas uczył skłonów wszelkich
jerozolimski kamieniołom.
Żelazem skuci z rufą galer,
grzbietu nie mogąc z męki ruszyć,
nie myśleliśmy — grzeszni — wcale
o wybawieniu naszej duszy.**

**Nie dla nas były wieszcze znaki
o nowym Królu ponad Króle —
nas rzymski car — niebylejaki —
potęgą swą przygarnął czule.
Nam nie świeciła gwiazda wschodu,
aniołów skrzydła tu nie zwiodły;
ginąc od bata i od głodu,
w noc szeptaliśmy bunt — nie modły.**

**Buntem nam piersi gniew rozsadzał,
nie żalem — ogniem w żyłach gorzał,
żeby od Boga dana władza
poszła do raju wprost z pod noża.
Nie dla nas wrogów ukochanie,
pokorny marsz po drodze z cierni —
więc niebo swoje, Chryste Panie,
zostaw otworem dla Twych wiernych.**

**My nie czekamy Twego nieba,
ni łaski czyjej, ni litości.
Ręce nam same sięgną chleba
i same sięgną do wolności.
Znak Twojej męki — jeden więcej
łatwo uwagi naszej uszedł.
Nas, niewolników, sześć tysięcy
wbito na krzyż ze Sportakusem.**

**Nie dziw, kto mirrę miał i złoto,
i duszę, którą w cudach ćwiczył,
ten witał Ciebie — a nam oto
na żaden cud nie dano liczyć.
Nie dając — nie wołamy: daj nam!
— więc dziś nam Chryste - Królu daruj,
że nie składamy Tobie darów,
sami nie mając nic, prócz kajdan.**

SZYMON WOLSKI.

Gustaw Halm

My biedni mężczyźni!

Na trzy tygodnie przed Bożem Narodzeniem Ziepke musiał udać się w podróż do zupełnie obcego mu miasta. Szczęśliwie — w mieście tem miał szwagra Striepkego. Odszukał go.

— Emilu, Emiljo — witał ich. — Czyż to nie zrządzenie losu, że właśnie tu musiałem przybyć? Nigdy tu nie byłem. Małgorzata kazała Was gorąco pozdrowić, a od dzieciaków przynoszę mnóstwo uścisków. Ale, ale, co to chciałem powiedzieć?... Dajcie mi adres jakiegoś schludnego hoteliku, w którym mógłbym spędzić trzy dni — mile i tanio.

— Tylko trzy dni zostajesz? — zapytał Striepke, mrugnąwszy do Emilji — ach, trzy dni możesz przecież u nas spędzić. Proszę Cię, nie oponuj, zostajesz u nas!

Więc Ziepke został u Striepków. Jednak trzy dni zamieniły się na czternaście — interesów nie daje się tak łatwo przeprowadzić. Striepke trapił się: Boże Narodzenie za pasem, co robić? Wziął szwagra na bok:

— Wiesz, Adolfie...

— Wyjeżdżam jutro, przerwał Ziepke.

— Ach, nie o to chodzi, tylko, widzisz u nas tak jest ciasno, musimy więc choinkę wstawić do pokoju, w którym gościsz, a także stół na upominki...

— Nie krępujcie się zupełnie! Można łóżko przesunąć do kąta. Ale, ale... chciałbym wiedzieć, jakie Emilja ma życzenia. Rozumiesz przecież, że pragnę znaleźć sposobność do rewanżu...

Wybadano Emilję. Po długich naradach ustalono wzajemnie: dla Emila cygara i likier, a dla Emilji...

— Ach wiesz, Adolfie? Takbym pragnęła mieć lampę na nocny stolik, taką z barwnym abażurem. Co za radość będę miała... Tylko wiesz? Musisz iść ze mną kupić, bo ci mężczyźni...

— Zrobione!

Wydatek na upominki dla obojga miał nie przekroczyć 40 mk. Spotkanie wyznaczono na trzecią.

Emilja zjawiła się przed sklepem „Cudowne lampy Aladyna" punktualnie... kwadrans przed czwartą. Przyszedł też Ziepke. Upominał żonę:

— Pamiętaj Emiljo, do dwudziestu marek!

Emilja zniknęła we wnętrzu sklepu. Ziepke oglądał na wystawie porcelanowy posążek Buddhy. Po chwili główka Emilji ukazała się we drzwiach: Adolfie!

— Co, kochanie?

— Adolfie, wybrałam jedną z mlecznym kloszem, ładna, czy mam ją wziąć?

— Naturalnie, o ile sprawi Ci to przyjemność.

— Ale kosztuje dwadzieścia pięć marek...

— No, nie będziemy się tak ściśle trzymać podziału.

Emilja wróciła do sklepu. Emil znudzony lampami, oddalił się pod wystawę cukierni, oglądając smakołyki. Emilja wynurzyła się ponownie:

— Adolfie, ile przeznaczyłeś dla Emila?

— Mniej więcej połowę, czyli dwadzieścia marek.

— Właściwie, wiesz, że on też będzie korzystał z lampy... bo, widzisz lampa kosztuje trzydzieści marek...

— Mówiłaś przecież, że dwadzieścia pięć?

— Teraz chodzi o piękną sztukę w stylu rococo.

— Mnie coprawda wszystko jedno, rzekł Ziepke. Emilja znów weszła do sklepu, lecz po chwili zawołała:

— Adolfie, Adolfie! Znalazłam cudo, kosztuje trzydzieści pięć marek, ale właściwie Emil nie potrzebuje cygar; całe mieszkanie będzie ubrudzone popiołem. Wystarczy mu likier.

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem — odrzekł Ziepke z galanterją, zwracając się teraz pod wystawę księgarni. Wkrótce poczuł na ramieniu łagodne dotknięcie.

— Chodź, Adolfie — szeptała Emilja — musisz zapłacić. Wybrałam coś wspaniałego: z alabastru, abażur czerwony, a cena zastanawiająco niska: czterdzieści pięć marek. Ewentualnie, dopłacę tę małą różnicę. Czy wiesz? jestem nawet rada, że Emil nie dostanie koniaku — wy, mężczyźni nie umiecie w niczem zachować miary!

Tłum. K. L.

3132 lata wojny i 268 pokoju

przeżyła ludzkość w przeciągu 34 wieków

8000 zawartych traktatów pokojowych nic nie pomogło

Z obliczeń Towarzystwa Prawa Międzynarodowego wynika, że wysiłki nad zapewnieniem ludzkości wiecznego pokoju, trwają już od 3.400 lat. Przynajmniej z tego okresu (34 wieków) rozporządzamy mniej więcej ścisłemi wiadomościami. Pierwszą próbę zaprzestania wojny i zapewnienia ludzkości trwałego pokoju spotykamy już przed 34 wiekami. Świadczy to dość korzystnie o rodzaju ludzkim, że we wszystkich wiekach znajdowali się na świecie ludzie rozsądni.

Jak się okazuje, ludzkość nie tylko nie marnowała czasu, lecz zawarła w wymienionym okresie aż 8000 TRAKTATÓW POKOJOWYCH z których każdy miał jej zapewnić „wieczysty" pokój. Procentowo biorąc zawierano więcej niż dwa traktaty o „wieczystym" pokoju na rok.

Czy traktaty pokojowe pomogły?

Niebardzo, gdyż równocześnie statystyka wykazuje, że na 3400 lat mieliśmy 3132 LATA WOJNY, a tylko 268 LAT POKOJU. Na 12 lat wojny mieliśmy tylko jeden rok pokoju, a potem znowu wodzono się za łby.

Czy ludzkość w przeciągu tego czasu zmądrzała? Raczej nie, skoro od szeregu lat nie umie nawet zawrzeć traktatu pokojowego.

205 dni kobieta traci

na przeglądanie się w lustrze

Pewien statystyk obliczył, że przeciętnie — dziewczynka od lat sześciu do dziesięciu stoi przed lustrem dziennie 7 minut. Dziewczyna w wieku od 10 do 15 lat traci już kwadrans dziennie na przeglądanie się w lustrze. Od lat 15 do 20 panna stoi przed lustrem przeciętnie 22 minuty. Kobietom w wieku 25 do 35 lustro zajmuje już pół godziny dziennie. Później znowu czas ten stosunkowo się zmniejsza.

Ogółem według tych obliczeń kobieta w przeciągu 60 lat traci 205 dni na przeglądanie się w lustrze.

Tajemnica wieży zegarowej

Zegar, który się od 4 wieków spieszy o 7 minut

W Gorlicach, znajduje się na wieży kościoła św. Trójcy zegar, który już od czterech wieków, śpieszy się o siedem minut. Ta niepunktualność nie jest spowodowana ani złym stanem zegara, ani niedbalstwem ludzi mających nad nim pieczę. Jest to fakt uświęcony tradycją, przechodzącą z pokolenia na pokolenie.

Jak powstał ten zwyczaj? Oto w r. 1527 panowie radcy miejscy, rządząc zbyt surowo, ściągnęli na siebie wielką złość mieszkańców. Szczególnie cechy odnosiły się do Magistratu bardzo wrogo, tak że rada miejska, gwoli obrony ładu i porządku, postanowiła zaaresztować ich najkrnąbrniejszych przywódców. Zagrożeni więzieniem jakoś się jednak o niemiłych wobec siebie zamiarach dowiedzieli i zaraz zebrali się na ciasnej uliczce do dziś dnia „Ulicą Zdrajców" zwanej. Spiskowcy postanowili zaatakować ratusz i odpowiednio się „załatwić" z tym ojcami miasta, których za największych swych wrogów uważali. Napaść miała nastąpić o 12-ej, w chwili kiedy radcy opuszczają salę posiedzeń. Atoli jeden ze spiskowców ujawnił wobec strażnika zegara, plan napadu. Brakowało do zamachu jeszcze tylko 7 minut, ale przytomny strażnik zadzwonił zaraz 12-tą. Radcy jak zwykle punktualni, opuścili salę posiedzeń i poszli na piwo. Kiedy zaś zjawili się spiskowcy straż ich z łatwością obezwładniła. A zadowoleni z obrotu sprawy radcy miejscy postanowili, że zegar po wieczne czasy ma się śpieszyć o owe „historyczne" 7 minut.

Drogi z czasów Dżingis—Chana

Znany badacz szwedzki, Sven Hedin, który prowadzi obecnie badania w zachodniej części Mongolji, odkrył dwie ważne drogi handlowe, łączące wschód z zachodem, pochodzące z czasów Dżingis-chana. Drogi te służyły przeważnie chińskim karawanom kupieckim, które zapuszczały się z wyrobami jedwabiu i porcelany daleko na zachód. Sven Hedin bada obecnie warunki budowy autostrady w tej części Mongolji.

Najbardziej odwiedzane

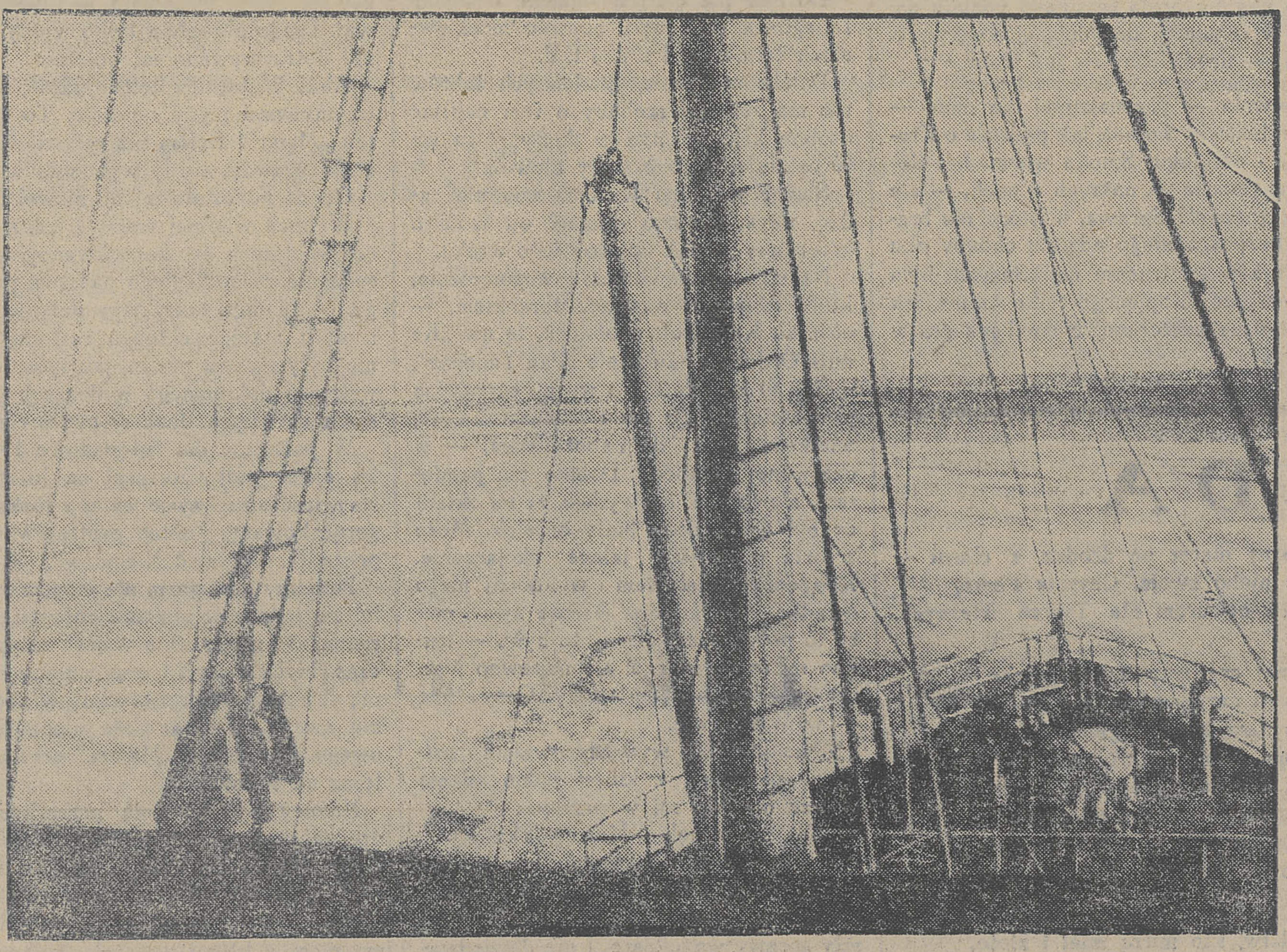
osobliwości Francji

Należące do państwa muzea i budynki historyczne Francji przyniosły w roku 1933 dochodu 4.060.868 franków. Dochód ten prawie w całości pochodzi z kart wstępu, a tylko 60.000 franków dały zezwolenia udzielane malarzom, fotografom i filmiarzom na prawo reprodukowania.

Które z osobliwości Francji przyniosły największy dochód? Zadziwiające jest, że największy dochód dało nie muzeum Luwru, największe we Francji, lecz Mont Saint Michel, znany pod nazwą „Cudu Zachodu". Opactwo to, położone na szczycie skalistej wysepki w zatoce na granicy między Bretanją a Normandją, zainkasowano za wstępy 533.359 franków. Louvre osiągnął docchód w wysokości przeszło 520 tys. fr., chód w wysokości przeszło 520 tys. fr., Skolei następują pod względem dochodowości: Łuk Triumfalny w Paryżu, Panteon, zamek w Pau, słynny ze swych gobelinów i mebli; pałac w Fontainebleau, kaplica w pałacu Sprawiedliwości, obronne średniowieczne miasto Carcassone, Grand Trianon w Wersalu, Muzem Cluny, wieżyce kościoła Notre Dame w Paryżu, Muzeum Luksemburskie i t. d.

Według urzędowego sprawozdania ministerjum Sztuk Pięknych dochody z oglądania osobliwości Francji w porównaniu z dochodami z roku poprzedniego nie zmniejszyły się.

Na bezkresnej białej Północy



MORZE POD BIEGUNEM Z POKŁADU ŁAMACZA LODÓW „KRASIN"

Stałe loty przez Atlantyk

Wielkie angielskie zakłady lotnicze rozpoczęły budowę hydroplanów nowego typu. Hydroplany te mają być użyte dla zapewnienia stałej komunikacji pomiędzy Anglją i Kanadą. Ministerjum lotnictwa udzieliło swej pomocy. Obecnie odbywane są próby, które mają wykazać, czy możliwem jest odbycie lotu Anglja — Nowa Funlandja bez lądowania z takiem obciążeniem, które uczyniłoby linję komunikacyjną opłacalną. Ministerjum poczt wyraziło gotowość udzielenia znacznych subsydjów, o ile hydroplany będą przewozić pocztę. Rząd angielski usiłuje utworzyć stałą lotniczą komunikację pocztową ze swemi dominjami. Doświadczenia lotu Anglja — Australja były bardzo pouczające i utwierdziły sfery rządowe w mnieманiu, że lotnicza komunikacja pocztowa ma przed sobą wielkie widoki rozwoju

100 miljonom grozi głód

Według wiadomości prasy chińskiej wskutek długotrwałej posuchy w prowincjach centralnych oraz powodzi na północy około 100 miljonom ludności grozi głód. Centralny komitet statystyczny w Szanghaju stwierdza, że 369 okręgów jest dotkniętych klęską głodu. O powadze sytuacji świadczą cyfry dotyczące nieurodzaju. Zbiory ryżu są o 70% mniejsze, niż w roku ubiegłym, bobu 60%. Najdotkliwiej klęska głodu daje się odczuć w prwoincjach Tsian - Fu, Szan - Dun i Szan - Si.

Niezwyły wypadek lotniczy

Na lotnisku Croydon w Londynie wydarzył się wczoraj niecodzienny wypadek lotniczy w czasie lądowania francuskiego samolotu, wiozącego dzienniki francuskie z Anglji. Samolot, lądujący w czasie mgły, uderzył o pewien dom, przebił boczną ścianę i zatrzymał się dopiero przed kominkiem kuchennym. Jedynie dzięki przytomności umysłu pani domu, która natychmiast wyłączyła gaz, nie doszło do eksplozji benzyny, wylewającej się z rozbitego zbiornika samolotu. Obaj piloci cudem uniknęli śmierci, odnosząc jedynie lekkie obrażenia.

40 miljonów stopni gorąca

Problem temperatury słonecznej zaprząta od dłuższego czasu umysły fizyków i astronomów. A rozwiązanie tego arcyciekawego, chociaż pozornie nieaktualnego zagadnienia — posiada doniosłe znaczenie naukowe. Pozwoliłoby to nam bowiem wysnuć pewne wnioski o strukturze gigantycznej kuli słonecznej, oraz uchylić rąbka tajemnicy, którą jest dla nas owa olbrzymia ilość ciepła i światła tryskająca w odmęty wszechświata.

Już oddawna wiadomo, że temperatura słońca w którego wnętrzu nasza piękna ziemia mogłaby się zmieścić półtora miljona razy — nie jest wszędzie równomierna. Przypuszczano jednak, że różnica pomiędzy powierzchnią a wnętrzem słońca wynosi najwyżej około tysiąca stopni Celsjusza. Badania angielskiego astronoma Eddingstona wykazały jednak, że pogląd ten jest nieścisły. Eddingston obliczył również przypuszczalną temperaturę na powierzchni słońca. Wynosi ona nieprawdoopodobną, fantastyczną cyfrę 40 miljonów stopni celsjusza!

Ponieważ słońce należy do gwiazd starszych i płonących już blaskiem chłodniejszym i bardziej żółtym niż młode gwiazdy, tryskające światłem czerwonem — można stwierdzić z całą pewnością, że owa niesłychana temperatura była dawniej o wiele większa.

***

Nasz umysł wprost nie może pojąć owej temperatury wynoszącej 40 miljonów stopni. Nie możeemy również zdać sobie sprawy z fantastycznej energji, którą wysyła i rozprasza kula słoneczna. Aby mniej więcej uzmysłowić sobie „sprawność" słońca, nadmieniamy, że energja, wysyłana przez słońce wynosi około trzysta biljonów koni parowych.

Nasuwa się teraz pytanie: Jak to możliwe, że słońce, tak hojnie szafujące swoją dobroczynną mocą, niewiele jej straciło w ciągu wieków? To pytanie jest jednem z najciekawszych zagadnień dzisiejszej astronomji. Starano się to wyjaśnić rozmaitemi przypuszczeniami.

Nikomu jednak tej zagadki nie udało się rozwiązać.

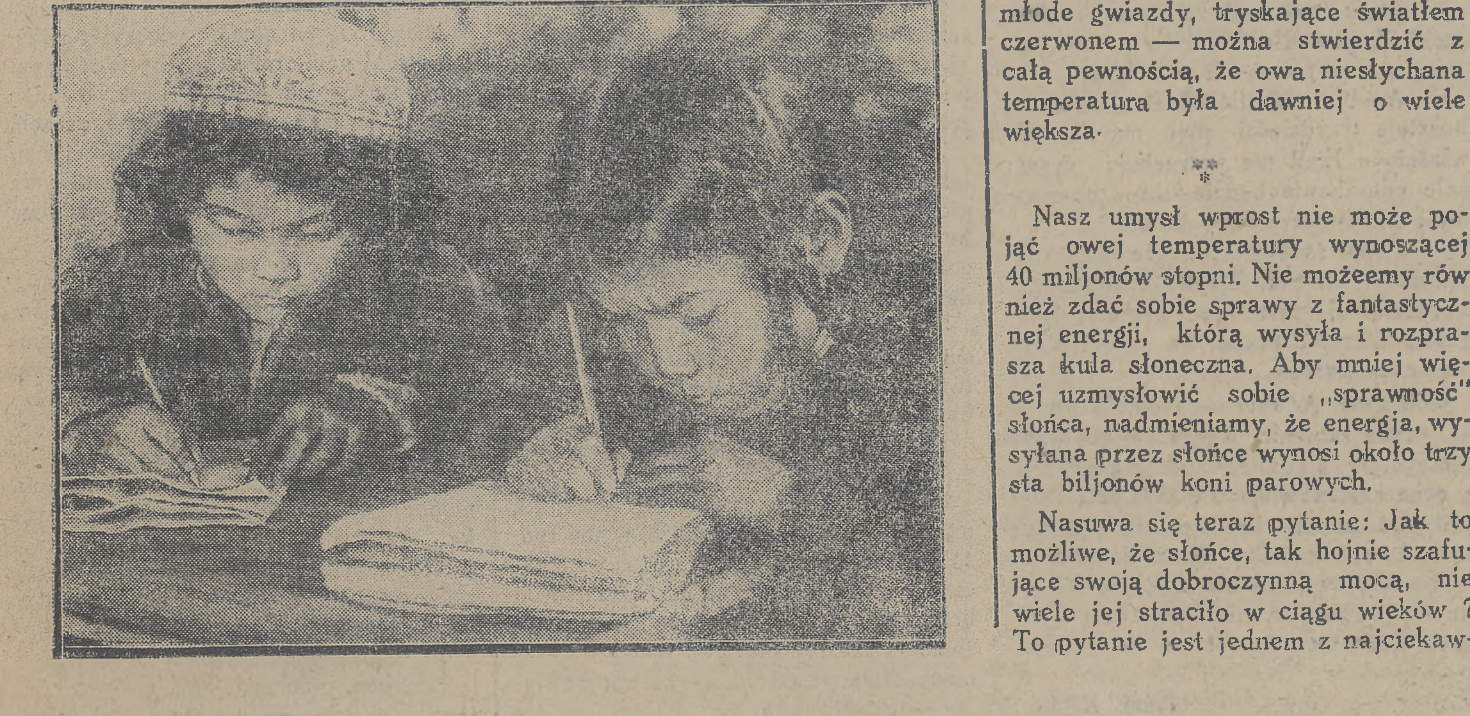
***

Temperatura słońca nie jest wcale najwyższą we wszechświecie. O wiele wyższą temperaturę posiada młoda gwiazda Betegeza, natomiast starszy od słońca Syrjusz posiada niższą temperaturę.

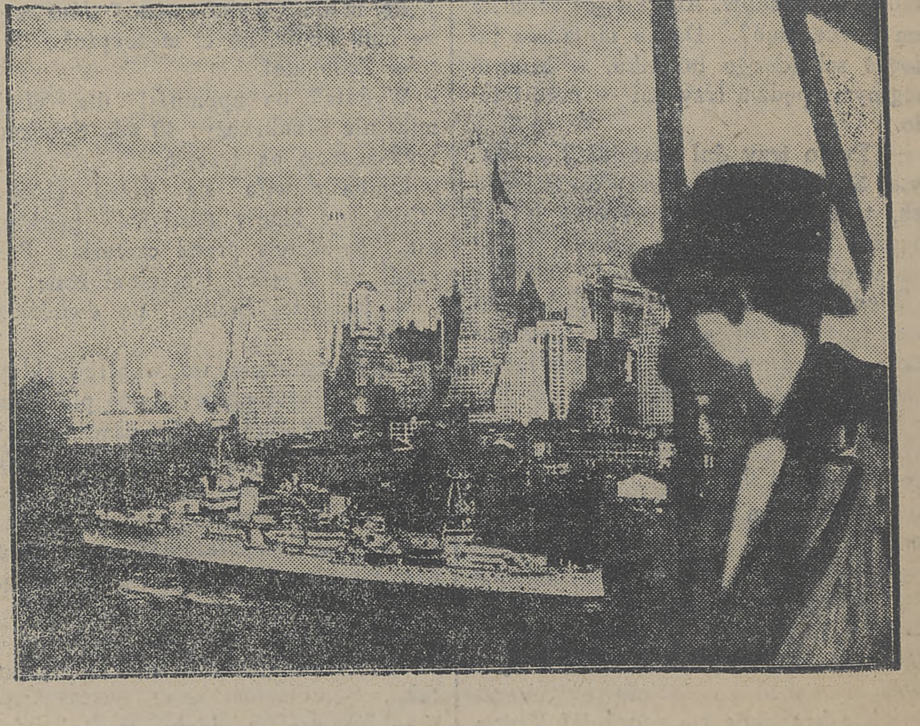
Zjazd Sowietów na... łamaczu lodów

Wczoraj wyruszyły z Murmańska łamacze lodów „Małygin" i „Miatiel", kierując się ku Nowej Ziemi. Podczas postoju tych okrętów u Nowej Ziemi na ich pokładzie odbędzie się zjazd sowietów, wybranych prze ludność zamieszkującą obszary położone na północ od okręgu polarnego.

Walka z analfabetyzmem w Uzbekistanie



Oryginalne zdjęcie Nowego Yorku od strony portu



Zjazd oświatowy robotników ukraińskich

(kor. własna)

W niedzielę, dnia 16-go odbył się w stolicy Zagłębia naftowego, Drohobyczu, krajowy Zjazd delegatów Kół Towarzystwa kulturalno - oświatowego robotników ukraińskich „Robitnycza Hromada", zwołanym wspólnie z z Ukraińską Komisją Zawodową. Zjazd odbył się w pięknie przybranej sali Domu Robotniczego, a przybyli nań delegaci z różnych ośrodków robotniczych Galicji Wschodniej, z przewagą Podkarpacia.

Reprezentowane były licznie klasowe Związki zawodowe z sekretarzem Centralnej Komisji Związków Zawodowych, posłem tow. **Z. Żuławskim** na czele, oraz z przewodniczącym lwowskiej Okręgowej Komisji Związków Zawodowych, tow. **M. Pieniagą**. Reprezentowane były również partje socjalistyczne: PPS., USDP. i USRP, Zarząd Główny TUR., Zarząd Główny kult.-oświatowej organizacji ukr. soc. - rad. „Kameniari", oraz inne organizacje centralne.

AKADEMJA

Zjazd rozpoczął się Akademją, którą zainaugurował **Chór drohobyckiej „Robitnyczej Hromady"**, pozostający pod artystycznem kierownictwem tow. Włodzimierza **Duba**, odśpiewawszy hymn młodzieży socjalistycznej.

Przemówienie wstępne z ramienia Zarządu Głównego „Robitnycza Hromada" oraz z ramienia Ukraińskiej Komisji Zawodowej, wygłosił tow. **Porfiry Buniak**.

Mówiąc o celu i programie Zjazdu, oraz witając delegatów i gości, tow. Buniak wspomniał o nieodżałowanej pamięci tow. **Mikołaju Hankiewiczu**, tow. **Romanie Jarosiewiczu** i innych socjalistycznych działaczach na polu politycznem, kulturalno - oświatowem i zawodowem, których zabrała śmierć nieubłagana.

Wspomniał również o tragicznie zmarłym działaczu socjalistycznym na terenie Podkarpacia, **Mikołaju Strońskim**, jako o jednej z licznych ofiar rusofilskiej bolszewickiej nagonki. Wreszcie wspomniał o najnowszej ofierze tej zajadłej nagonki, o wielkim uczonym i największym historyku ukraińskim, wybitnym działaczu ukraińskiej partji socjalno-rewolucyjnej, prof. **Michale Hruszewskim**, który zmarł na zesłaniu, daleko od swej ojczyzny.

Zebrani oddali cześć tym działaczom przez powstanie.

PROTEST PRZECIW TEROROWI NA UKRAINIE SOWIECKIEJ

Następnie tow. **Buniak** omówił ostatnie wypadki w Sowietach po zabiciu Kirowa, oraz związanym z tem terorze w całej Rosji Sowieckiej, a specjalnie na Ukrainie i Białorusi. Na Ukrainie teror zwrócony jest przeważnie przeciw Ukraińcom, pochodzącym z Galicji wschodniej. Aczkolwiek przeszli oni do obozu komunistycznego, zostają masowo aresztowani i rozstrzeliwani, bez należytego sądu i bez obrony. Podobny teror istniał w początkach panowania bolszewików, później nieco przycichł, a obecnie odżył nanowo ze zwiększoną siłą.

Mówca, imieniem socjalistycznego proletarjatu ukraińskiego, złożył **energiczny protest przeciw szalejącemu terorowi i masowym mordom Ukraińców na Ukrainie Sowieckiej**.

Protest ten przyjęli obecnie gromkiemi oklaskami i okrzykami.

MOWY POWITALNE

Nastąpiły przemówienia powitalne. Pierwszy zabrał głos przedstawiciel Centr. Komisji Związk. Zawodow., poseł tow. **Z. Żuławski**, wygłaszając dłuższe, burzliwemi oklaskami przyjmowane przemówienie, potem przemawiał imieniem C. K. Ukraińskiej Partji Socjalistów - Radykałów oraz Zarządu Główn. org. „Kameniari" i Zarządu Gł. „Selanskich Spiłok" (organizacja zawodowa robotników wiejskich) red. **O. Pawliw**; imieniem Okr. Komisji Związków Zawodowych we Lwowie oraz Central: Zw. Metalowców tow. **M. Pieniaga**; w imieniu Zarządu Gł. TUR oraz OKR. PPS. we Lwowie tow. red. **B. Skalak**, imieniem Klubu posłów soc.-rad. poseł **Wachniuk**, imieniem Centr. Związku Górników oraz OKR. PPS. Podkarpacia tow. **F. Przewłocki** imieniem Centrali Związku dozorców domowych we Lwowie tow. **Boruch**, imieniem Powiatowego Komitetu USRP. tow. **K. Matczak**, imieniem ukraińskiej młodzieży socjalistycznej tow. **O. Miszturak**, imieniem Powiatowej Organizacji „Kamieniarów" tow. **M. Beńkowski**, wreszcie imieniem Centr. Kom. Ukraińskiej Partji Socjalno-Demokratycznej tow. dr. **R. Dombczewski**.

Następnie odczytano nadeszłe na Zjazd telegramy i pisma z życzeniami, a mianowicie od Centralnego Komitetu Wykonawczego Polskiej Partji Socjalistycznej, od Zarządu Głównego Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, od Tow. Oświaty Demokratycznej „Nowe Tory", od Centr. Związku Górników i od tow. J. Stańczyka, od Centr. Zw. Rob. Przem. Chemicznego, od Centr. Zw. Rob. Przem. Drzewnego, od tow. T. Solhana i towarzyszy przemyskich i wiele innych.

Wszystkie przemówienia i odczytane pisma i telegramy nagrodzono oklaskami.

REFERATY

Główny, jednogodzinny referat na temat: „Rozwój i zadania kulturalno - oświatowej pracy wśród robotników" wygłosił tow. dr. **R. Skibiński** z Drohobycza, zaś referat na temat: „Kulturalno-oświatowa praca w Robitnyczych Hromadach i w Związkach Zawodowych" wygłosił tow. **P. Buniak**.

Między referatami i przemówieniami Chór robotniczy męski i mieszany drohobyckiej „Robitnyczej Hromady" wykonał cały szereg pieśni robotniczych i ludowych. Wykonanie każdego utworu było bardzo piękne; dyrygent włożył wiele pracy, wiedzy muzycznej i talentu w stworzenie poważnego robotniczego zespołu śpiewaczego.

Bardzo ładne deklamacje wygłosiła małeńka Ircia Charchanówna z Borysławia;

AWANTURY KOMUNISTÓW

Pierwszą część Zjazdu, zaraz na początku, zakłóciła grupka komunistów ze Lwowa.

Mianowicie, podczas kiedy tow. Buniak w swem przemówieniu przedstawiał obecne położenie na Ukrainie Sowieckiej, komuniści, dostawszy się na Akademję, zaczęli we właściwy im sposób wykrzykiwać i przeszkadzać mówcy, stając w obronie rządów Postyszewa i protestując przeciw „nieprawdziwym" (!!) rewelacjom o masowych rozstrzeliwaniach.

Następnie powtórzyli swoje wystąpienie w czasie mowy tow. Żuławskiego, potęgując je później w czasie przemówienia tow. Pawłowa.

Kiedy łagodna próba uspokojenia tych intruzów, *których widocznym celem było rozbicie Zjazdu robotników ukraińskich* na nic się nie przydała, oburzeni drohobyczanie wyrzucili z sali gorętszych adherentów Postyszewa, dając im przytem nauczkę... Reszta wyniosła się sama...

Po tym incydencie Akademja i popołudniowe obrady odbyły się w zupełnym spokoju i porządku, wolne od „jednolitego frontu" z nałogowymi rozbijaczami, którzy długo popamiętają spracowane dłonie robotników podkarpackich...

DRUGA CZĘŚĆ ZJAZDU

Po przerwie obiadowej, nastąpiła właściwa konferencja delegatów, na której nastąpiły sprawozdania z działalności poszczególnych Kół „Robotnyczej Hromady", przeprowadzono dyskusję nad wygłoszonemi na Akademji referatami ustalono wytyczne linje dalszej działalności, omówiono sprawę zmiany statutu i t. d.

Wreszcie uchwalono rezolucje i wnioski.

Poseł „sanacyjny"

fałszerzem kwitów

„Polonja" zamieszcza artykuł o pośle Pobożnym który przeszedł z Ch. D. do „sanacji". Zarzuca mu cały szereg fałszerstw kwitów na swoją korzyść. Poseł Pobożny, według „Polonji", pobierał z Sekretarjatu Ch. D. pieniądze na pracę organizacyjną na Śląsku Cieszyńskim, a pieniądze te zatrzymywał dla siebie. Pan Pobożny — tak czytamy w „Polonji" — pobierał 100 zł. na lokal podsekretarjatu Ch. D. w Bielsku i 100 złotych na sekretarza, ale ani lokalu ani sekretarza nigdy tam nie było, pieniądze zaś zabierał dla siebie. „Polonja" zarzuca dalej p. Pobożnemu, że kazał sobie zapłacić na wynajęcie sali na wiec Korfantego w Bielsku 142 zł., a w rzeczywistości zapłacił tylko 42 zł. Ogółem wylicza „Polonja", — przywłaszczył sobie Pobożny w ten sposób 10.000 złotych.

I taki człowiek miał odwagę napadać na zebraniach i wiecach na socjalistów!

Co powiedzieć o „sanacji", która zbiera u siebie takie elementy?

Różne wiadomości z całego kraju

KOMORNIK W CZASIE URZĘDOWANIA DOPUŚCIŁ SIĘ CZYNÓW NIEMORALNYCH.

Za I. K. C. podajemy:

W dniu 19 grudnia komornik sądu grodzkiego w Bochni p. Bielski, który miał przeprowadzić egzekucję na niejakim Jareckim, wpadł, w towarzystwie dwóch pomocników, w poszukiwaniu ukrytych przez egzekwowanego pieniędzy, do mieszkania jego brata, Andrzeja Jareckiego we wsi Kobylec i pod nieobecność gospodarza przeprowadził rewizję w całem mieszkaniu, wyrzucając nawet materace z łóżka, poczem zażądał od obecnych w mieszkaniu kobiet (nawet tych, które przyszły w odwiedziny), by poddały się rewizji osobistej — i nakazał im rozbierać się.

Gdy żona Andrzeja Jareckiego zaprotestowała przeciwko takiemu postępowaniu, komornik zagroził jej okuciem w kajdany i trzechlitnim więzieniem.

Dopiero przybycie sąsiadów położyło kres tej „gorliwości egzekucyjnej".

KU PRZESTRODZE RODZICÓW! TRAGICZNE SKUTKI ZBYTNIEJ SUROWOŚCI.

Jedenastoletni Antoni Brodowski, zamieszkały u rodziców, przy ul. Soldańskiej 28 w Wilnie, wypędzony został z domu za złą cenzurę. Chłopiec postanowił zanocować w domu zajezdnym. Ponieważ jednak nie znalazł tam przytułku, udał się do piwnicy, by tam przenocować i wypocząć, tembardziej, że poprzednio przez cały dzień tułał się po mieście.

Chłopiec natrafił w piwnicy na głęboki dół, do którego wpadł i złamał nogę. Dół ten miał 7 metrów głębokości. Nie mogąc o własnych siłach wydostać się na wierzch, chłopiec przeleżał tak całą noc. Dopiero rano przechodzący policjant usłyszał jęki, dobywające się z piwnicy. Policił więc dozorcy sprawdzić, skąd one pochodzą. Chłopca, który stracił przytomność, odwieziono w bardzo groźnym stanie do szpitala.

ZBRODNIA MŁODEGO DOROŻKARZA

Marjanna Turkówna z Częstochowy, chcąc udać się na służbę do Mstwowa, wsiadła przed dworcem do dorożki, którą w zastępstwie ojca powoził młodziutki Edmund Nabiałek.

W drodze Nabiałek napastował przystojną dziewczynę, a gdy ta była mu niechętna, wyciągnął z kieszeni butelkę z naftą, oblał oniemiałą z przerażenia Turkównę i momentalnie zapalił zapałką ubranie swej ofiary. W jednej chwili Turkówna obróciła się w słup ognia, wołając resztką przytomności ratunku. Na krzyk jej zeskoczyli śpiący na wozach w pobliżu woźnice, którzy czekali tu na węgiel i jeden z nich, schwyciwszy worki, rzucił je na płonącą, gasząc po trochu ogień. Dziewczyna doznała ciężkich obrażeń. Nabiałka skazano na 1 rok więzienia.

LUDZIE — ZWIERZĘTA.

W Starogardzie niejaki Łukowicz, obchodził się ze swoją żoną, 54-letnią Walerją, do tego stopnia okrutnie, że przyprawił ją o chorobę umysłową. Syn jego pastwił się nad matką niemniej od ojca.

Przed kilku tygodniami nieszczęśliwa kobieta gdzieś znikła. Obaj Łukowiczowie ukrywali ten fakt. Dopiero przed kilku dniami wyłowiono z rzeki Wierzycy zwłoki kobiety, w których rozpoznano Łukowiczową.

Istnieją poszlaki, że została ona utopiona rozmyślnie.

Pod zarzutem dopuszczenia się tej zbrodni sędzia śledczy nakazał aresztować obu Łukowiczów ojca i syna.

Do czego już doszło!

Ładne stosunki na Polesiu

Pomysły niektórych prowincjonalnych dygnitarzy przekraczają najbujniejszą fantazję.

W powiecie drohiczyńskim woj. poleskiego, z inicjatywy tamtejszego starosty p. Jerzego Strawskiego, obecnie przeniesionego do Brześcia, i przy wybitnej pomocy inspektora szkolnego, p. Kapałczyńskiego zorganizowano t. zw. „Związek Międzykomunalny", przemianowany niedawno na „Związek Rolniczy". Jest to instytucja która pod pozorami popularyzacji wiedzy rolniczej, mleczarskiej, hodowlanej oraz wzajemnego ubezpieczenia się rolników w postaci zsypu zboża, została powołana do walki z uświadomieniem klasowem chłopa, i do agitacji na rzecz „ideologji" i „sanacji" z zastosowaniem ściśle z tem związanych metod. Przewodniczącym jest starosta, przewodniczącym Komitetów Gminnych — wójtowie i to komisaryczni. Zebrania odbywają się na rozkaz przewodniczącego z powiatu: soltysi chodzą po wsiach z poleceniami przybycia na zebranie. Na zebraniu policjant notuje obecnych i przemówienia.

Porządek takiego zebrania składa się z „odczytu" o hodowli zielononóżek, czy prosiąt, wygłoszonego przez nauczyciela, często wychowanego w mieście, więc bez doświadczenia w tej pracy, o której poucza spędzonych Poleszuków, którzy z politowaniem spoglądają na te „uczone mądrości".

Uważamy, że miejscowy inspektor szkolny, jako opiekun nauczycielstwa, powinien mu zaoszczędzić tego rodzaju kłopotliwych sytuacyj; niestety, jest on zawsze chętny do szafowania czasem nauczyciela.

Po tym rolniczo-prosięcym wstępie drugi nauczyciel, kandydat na kierownika, bardziej zaawansowany w „sanacyjnej robocie", wygłasza odczyt o „wychowaniu obywatelskiem", w którem chwali wszystkie dobrodziejstwa „sanacji", np. wprowadzenie pięcogroszowych pudełek zapałek, nie wspominając o tem, że chłopa już dzisiaj nie stać na dziesięć groszy, pomimo zbawiania go przez lat osiem przez „sanację", a trzy przez Związek Rolniczy.

Działalność Związku Rolniczego zaimponowała innym starostom p. Kostka - Biernackiego. Że wstępnemi odczytami p. p. Strawski i Kapałczyński objechali wszystkie miasta Polesia, dokąd usłużni inspektorzy szkolni zwoływali konferencje powiatowe nauczycieli. P. Kapałczyński opowiadał na nich, że „kryzysu, kochani rodacy, w powiecie drohiczyńskim już niema. Zapomnieliśmy o nim dzięki Związkowi Międzykomunalnemu". Bodaj to mówić prawdę!

Jakoś wbrew tym oświadczeniom p. inspektora inaczej musi się dziać w błogosławionym powiecie, skoro Związek Rolniczy wpadł na ciekawy pomysł wprowadzenia dla każdego gospodarza rolnego kart szacunkowych. W kartach tych figuruje rubryka: opinja moralna. Każdy rozumie, co to znaczy w dobie rządzenia przez „sanację" — „moralność". Zdawałoby się, że opinję tę ma wydawać sołtys, wójt, policja, a pozostałe części karty wypełni sam zainteresowany, względnie zarząd gminny.

A od czego jest inspektor szkolny w Drohiczynie, p. Kapałczyński? Zwołuje konferencje nauczycielskie i, chyba nie zastanawiając się nad przykremi skutkami dla nauczycielstwa — zachęca je do natychmiastowego wypełnienia kart? Do jakiej więc roli spadł już nauczyciel; oto ma spełniać rolę, niebardzo daleką od roli konfidenta!

Czy p. Kapałczyński rozumie, na co naraża nauczyciela po wypełnieniu tej karty, czy może gwarantować bezpieczeństwo osoby nauczyciela, wobec którego niejeden nędzarz poleski po przybyciu sekwestratora **nie tylko zgrzytnie zębami**, posądzając nauczyciela o wydanie złej opinji, a niejeden komunizujący czy tylko biadający chłop, po zetknięciu się z policją, posądzi go o złą konotatkę?

Słów kilka o p. Strawskim i Kapałczyńskim. P. Kapałczyński, inspektor szkolny z okręgu poznańskiego, następnie poseł na Sejm z Chrz. Dem. przepadł w wyborach i początkowo dla „dobra służby" został przeniesiony na Polesie i tutaj — pomimo starszego wieku — nie przeszedł w stan spoczynku, ale został udekorowany złotym krzyżem zasługi. Pozatem p. Kapałczyński chętnie konferuje z komendą Strzelca i zachęca w modny dzisiaj sposób nauczycielstwo do pracy w tej organizacji. Takim samym krzyżem odznaczony został i p. Strawski. przeniesiony do Brześcia.

Możeby tak Kuratorjum Brzeskie i Min. W. R. O. P. przypomniało p. Kapałczyńskiemu, że cokolwiek przeholował w swej gorliwości szafowania pracą i bezpieczeństwem swoich podwładnych nauczycieli, oraz by zajął się szkołą, oraz odświeżył swoje wiadomości dydaktyczne; przecież i tak już krzyż dostał...

Wielki proces 20 robotników

w Tarnowie

(kor. własna)

Dnia 20 b. m. odbyła się przed Sądem grodzkim w Tarnowie przeciwko dwudziestu robotnikom i robotnicom rozprawa o występek z art. 250 i 251 k. k. popełniony przez to, że w czasie ostatniego strajku robotników miejskich we wrześniu b. r. mieli przemocą i groźbą pobicia zmuszać do zaprzestania pracy zatrudnionych przez Magistrat łamistrajków.

Jeden z oskarżonych odpowiadał nadto za wykroczenie z § 24 ustawy prasowej, albowiem według aktu oskarżenia miał rozpowszechniać i rozlepiać skorfiskowane ulotki i afisze komitetu strajkowego.

Na rozprawie przesłuchano 11-tu świadków, przyczem na podkreślenie za sługują zeznania świadka Miguły, który pod przysięgą z całą stanowczością w oskarżonym tow. Molczyku rozpoznał tego, który mu wyrwał miotłę; dopiero po wyjściu na korytarz sądowy i zwróceniu mu uwagi przez innych świadków oskarżenia, że fałszywie przysięgał i zeznawał, wrócił spowrotem na salę sądową i podał, że się „pomylił", że to nie tow. Molczyk miał z nim zajście, lecz tow. Poręba.

Świadek oskarżenia Helena Banaś, która w czasie strajku zgłosiła się na ochotnika, by łamać strajk, oświadczyła przed Sądem, że gdyby jej nawet i 20 groszy dziennie płacono, to i tak by za tę kwotę pracowała. Zeznała ona, że jest teraz w ustawicznej trwodze że ją robotnicy zabiją.

Interesujące były zeznania świadka **Labny, wiceprezesa komitetu strajkowego Z. Z. Z.**, który zeznał, **iż zlikwidował strajk swej organizacji na nakaz starosty, który mu oświadczył, że taka organizacja jak Z. Z. Z. strajkować nie może**. Świadka tego robotnicy pobili za jego zdradę.

Rozprawę odroczono do dnia 12 stycznia.

Oskarżonych bronił tow. Dr. Agatstein.

Kronika krakowska

Zwracamy uwagę naszych prenumeratorów i kolporterów zamiejscowych, iż należność za prenumeratę należy przekazywać na

konto „Naprzodu" w P. K. O. w Warszawie Nr. 29129

„Gwiazdka" krakowska

Obywatele Krakowa też dostali gwiazdkę, nie mogą więc narzekać na brak opieki i zrozumienia ich potrzeb ze strony „wysokich czynników". Magistrat, ta przezacna instytucja, dba o dobro, a nawet o przyjemność mieszkańców. Nie zaniedbuje żadnej okazji, aby umilić ludności przeżywane przez nią ciężkie czasy. Dzielnie sekunduje magistratowi w „zbożnem dziele" „sanacyjna" większość Rady miejskiej. Akurat przed świętami zwołano Radę na posiedzenie, na którem uchwalono obdarować ludność cennemi upominkami „na gwiazdkę".

Dodatek 100% do podatku od nieruchomości. Jakiż to piękny podarunek. Zwłaszcza cieszyć się będą ci właściciele maleńkich, drewnianych chałupek na przedmieściach, którzy nie mogą sobie nawet sprawić choinki na święta, nie mówiąc już o tradycyjnej „rybce" i innych delicjach, jako że „radosna twórczość" nie może tolerować przestarzałych zwyczajów.

To jeszcze nic. To tylko dla pewnej kategorji ludzi. Trzeba było pomyśleć o całej ludności. O wszystkich, bez wyjątku, obywatelach. Nie można przecież obdarowywać jednych, a pomijać drugich. Dali, dali, a jakże. Dla wszystkich. Ludziom, zwierzętom, wozom i samochodom. Równość wprost idealna. Łaskawy magistrat łaskawa większość Rady miasta obdarzyła wszystkich „kopytkowem". „Na gwiazdkę". Za most trzeba płacić. Niema na to rady. Za „jedne 5 groszy" przejdziesz przez most na Wiśle jeden raz. Bydlątko także za 5 groszy. Szczególnie wielką „ulgę" sprawi to bezrobotnym, którym kieszenie aż pękają od nadmiaru pieniędzy...

I jeszcze coś jest „na gwiazdkę". „Caro", przedziwne „Caro", cudowne „Caro". Zginęło 1.300.000 zł. i nikt nie wie, jak, gdzie, kiedy i co najważniejsze — kto... O cudzie, o „Carze" krążą już całe legendy.

Czy można użalać się na brak „gwiazdki"?

KINO MUZEUM DLA TUR.

W czasie świąt wyświetla Kino Muzeum wspaniały podwójny program świąteczny i kapitalną humoreskę p. t.

„NIEBORACZEK",

arcyzabawna komedja w 10-ciu aktach. Śmiech, humor, zabawa. W głównej roli Slim Sumerwile.

Najlepszy i najpiękniejszy film sezonu p. t.

„PIEŚŃ SERCA",

film, który wzruszy, zachwyci i oczaruje każdego. W roli głównej Dickie Moore i Betty Graham. Ponadto tygodnik Paramount'u.

Dla TUR. program ten wyświetlony będzie w drugi dzień świąt, t. j. w środę dnia 26-go grudnia b. r., o godz. 7 wiecz. Bilety wcześniej do nabycia w bibljotece TUR, ul. Sławkowska 12.

Strajk w „Ziarnie" zlikwidowany

Po jednodniowym strajku w firmie „Ziarno" robotnicy wrócili do pracy. Sprawę wynikłego zatargu na tle redukcji oddano pod arbitraż inspektora pracy p. Czarneckiego. Menerzy z ZZZ. przestraszyli się strajku i czym prędzej zlikwidowali go. Podobno otrzymali rozkaz od BB., aby natychmiast zlikwidować strajk. Interes robotników musiał iść na bok wobec rozkazu BB. Oto jeszcze jeden dowód zdrady ze strony bebeków z ZZZ.

Z miasta

URZĘDOWANIE W MAGISTRACIE

W dniu 24 bm. godziny urzędowe Magistratu m. Krakowa kończą się o godzinie 12-tej przedpołudniem. W oba święta utrzymane będą dyżury od 11 do 12-tej godziny. Wszelkie pilne pisma w dniu 25 grudnia br. doręczać należy w wyżej wymienionych godzinach w Biurze Sekretarjatu Prezydjalnego.

RUCH TRAMWAJOWY W CZASIE ŚWIĄT

Dyrekcja Krakowskiej Miejskiej Kolei Elektrycznej podaje do wiadomości, że w Wigilję Bożego Narodzenia, t. j. dnia 24 b. m. ruch tramwajowy i autobusowy kończy się o godz. 20-tej (8-mej wieczorem) to znaczy, że o tej godzinie odjeżdżają ostatnie wozy ze stacji końcowych.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia, ruch tramwajowy i autobusowy będzie przez cały dzień wstrzymany, natomiast w drugie święto ruch tramwajowy i autobusowy, odbywać się będzie normalnie, to znaczy od 6-ej rano do 11-ej w nocy.

Radjo krakowskie

Wtorek, 25 grudnia 1934 r.

I-szy Dzień Świąt.

9.00 Z Warszawy: audycja poranna. 10.00 Muzyka religijna z płyt (Kolendy). 10.30 Nabożeństwo z katedry św. Jana. 11.57 Sygnał czasu i hejnał. 12.03 Muzyka salonowa z płyt. 13.00 Feljeton. 13.15 Z Warszawy: muzyka polska. 14.00 Z Warszawy: koncert. 15.00 Z Warszawy: słuchowisko p. t. „Wieczór Wigilijny w Wójcinie". 15.30 Z Warszawy: płyty. 16.00 Z Warszawy: „U nas inaczej". 16.20 Z Warszawy: „Boże Narodzenie w muzyce". 16.45 Z Warszawy: „Sprawa honorowa". 17.00 Z Warszawy: muzyka do tańca. 17.50 Pogadanka „Angielski hołd królowej Jadwidze". 18.05 Ze Lwowa „Książę mnie się bawić". 18.35 Kilka utworów fortepianowych. 18.45 Słuchowisko dla dzieci. 19.25 Z Poznania: kolendy. 19.50 Z Warszawy: feljeton: „Klejnot Polski — Pomorze". 20.00 Ze Lwowa: „Nad modrym Dunajem". 20.45 Pogadanka: „Historja polskiej kolendy". 21.00 Z Warszawy: „Pokój ludziom dobrej woli". 22.00 Muzyka lekka z płyt.

ŚRODA, 26 grudnia.

II-gi dzień świąt.

9.00 Z Warszawy: Audycja poranna. 10.00 Nabożeństwo z Łodzi. 11.00 Z Warszawy: Muzyka religijna i popularna z płyt. 11.57 Sygnał czasu i Hejnał. 12.0) Z Warszawy: Wiadomości meteorologiczne. 12.05. Z cyklu „Gawędy podhalańskie". 12.15. Z Warszawy: Poranek muzyczny. 14.00. Muzyka charakterystyczna i salonowa z płyt. 15.00 „Obniżenie kosztów produkcji w rolnictwie" wygł. inż. Nowak. 15.15 Z Warszawy: Drobne utwory skrzypcowe z płyt. 15.45 Z Warszawy: „Z wiejską kolendą". 16.00 Z Warszawy: „Infułat i wożnica". 16.20 Z Warszawy: Recital śpiewaczy. 16.40 Ze Lwowa: „O takim, co grał aniołą". 17.05 Z Warszawy: Muzyka do tańca. 17.50 Z Warszawy: Odczyt z cyklu „Książka i wiedza". 18.00 Z Warszawy: Teatr Wyobraźni nadaje słuchow. „Drugie święto na Targówku". 18.45 Z Warszawy: Z cyklu „Życie młodzieży". 19.00 Z Warszawy: Muzyka lekka i popularna. 19.50. Z Warszawy: Feljeton aktualny. 20.00 Z Warszawy: „Pies i biurko". 20.10 Z Warszawy: Koncert. 20.45 Z Warszawy: Dziennik wieczorny i „Jak pracujemy w Polsce". 21.00 Z Warszawy: Koncert Chopinowski. 21.30 Pogadanka: „Olga Boznańska". 21.40 Z Warszawy: Koncert chóru Dana. 22.00. Skrzynka techniczna. 22.15 Koncert reklamowy. 22.30 Wiadomości sportowe. 22.45. Muzyka lekka z płyt. 23.00 Z Warszawy: Wiadomości meteorolog. 23.05 Muzyka taneczna.

Fałszywe pieniądze

W ostatnich miesiącach na terenie Krakowa pojawiła się w obiegu znaczna ilość fałsyfikatów 2, 5 i 10 złotówek. W sprawie fałszowania monet policja prowadzi dochodzenia, które narazie nie dały żadnego rezultatu.

Wycieczki

Zawodowy Związek Kolejarzy urządza w środę dn. 26 grudnia, o godz. 11-ej, wycieczkę do Muzeum Narodowego w Sukiennicach.

Wstęp 25 gr.

Repertuar

Z TEATRU M. IM. J. SŁOWACKIEGO.

W poniedziałek teatr nieczynny.

Wtorek 25 grudnia: „Domek z kart".

Środa 26 grudnia: „Betleem Polskie" L. Rydla.

BAGATELA: Rewja „Szukamy gwiazd" i „Namiętni kochankowie".

TEATR DOMU ŻOŁNIERZA

Wtorek 25 grudnia b. r.: popołudniu o godz. 3.30 „Lola z Ludwinowa", wieczorem o godz. 7.30 „Krowoderskie Zuchy".

Środa, dnia 26 grudnia br.: popołudniu o godz. 3.30 „Królowa Kina", wieczorem o godz. 7.30 „Wojna z babami".

„BETLEEM POLSKIE" L. RYDLA

Teatr im. J. Słowackiego wznawia tradycyjnym zwyczajem jasełkę L. Rydla „Betleem Polskie", z uzupełnieniami w 3-im akcie A. Waśkowskiego, w opracowaniu scenicznem reż. W. Nowakowskiego. Pierwsze w bież. sezonie przedstawienie odbędzie się w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, w środę, 26 bm. popołudniu. Ceny miejsc najniższe.

KINOTEATRY.

ADRIA: „Świat się śmieje".

APOLLO: „Czar wiedeńskiego walca", kochany zegarmistrz".

ATLANTIC: „C. K., Komenda serc" i „Urwis paryski".

PROMIEŃ: „Dziwny dom", „Czternastego lipca".

SZTUKA: „42-a ulica".

ŚWIT: „Dla ciebie śpiewam".

SŁOŃKO: „Awantura jego córki".

UCIECHA: „Dla Ciebie śpiewam".

WANDA: „Śluby ułańskie".

KINO DOMU ŻOŁNIERZA

Od czwartku 27 grudnia do piątku 28 grudnia b. r. Film p. t. „Pod banderą miłości".



Kronika tarnowska

Posiedzenie Rady Miejskiej

Dnia 15 b. m. odbyło się posiedzenie Rady miejskiej, na którem klub radnych socjalistycznych poruszył wszystkie aktualne kwestje, interesujące ludność robotniczą — a mianowicie przy okazji dyskusji **nad zmianami w preliminarzu budżetowym na rok 1934—35.** Mówcy socjalistyczni poddali surowej krytyce działalność obecnego prezydjum gminy. Charakterystyczne, że **radnym nie dostarczono wniosków na piśmie** i nad zmianami, idącemi w wiele dziesiątek tysięcy dyskutować musieli tylko na podstawie ustnego sprawozdania referenta. Tow. dr. Ciołkoszowa, prof. Ciołkosz, Hutter i Sukman zabierają kolejno głos, przedstawiając obrazki płac robotników i pracowników, redukowanie pracowników i przerzucanie ich z miejsca na miejsce, haniebne traktowanie t. zw. opieki społecznej, skandaliczne zaniedbanie przedmieść i t. d. Jednocześnie wzrosły ogromnie uposażenia prezydjum miasta, koszt samochodu dla prezydenta wynosi 2000 zł. pórocznie, a b. komisarzowi miasta Marszałkowiczowi wypłacono 2.700 zł. odprawy. Mimo umowy z Mościcami, nie obniżono też ceny prądu elektrycznego.

Na ławach B. B. panowało w czasie tych przemówień głuche milczenie. Nikt nie odparł ciężkich zarzutów naszych towarzyszów, zato w głosowaniu głosami „sanacyjnemi" zmiany w budżecie oczywiście przyjęto.

Tak samo uchwalono prolongatę i konwersję pożyczek z Komunalnego Funduszu Pożyczkowego, przyczem tow. Huppert podniósł sprawę znacznego ubytku dochodów miejskich (60.000 zł. rocznie) z powodu skasowania podatku od przywozu i wywozu towarów. Natomiast **pożyczkę 15.000 zł. z Funduszu Pracy na zatrudnienie bezrobotnych** uchwalono jednomyślnie, przyczem tow. Ciołkosz, Batist i Ciołkoszowa dobitnie przedstawili metody stosowane przez dr. N. N. Silbigera wobec robotników, aby złamać ich organizację. **„Polscy robotnicy to nie hasydzi, na nich pan sobie zęby połamie"** — zakończył swe przemówienie tow. Batist.

Przy sprawozdaniu z skontrum w Komunalnej Kasie Oszczędności tow. prof. Ciołkosz poddał krytyce chylącą się ku upadkowi działalność tej instytucji. Socjaliści głosowali przeciw przyjęciu sprawozdania do wiadomości.

Na koniec obradowano **nad przepisami kanalizacyjnemi.** Tow. Ciołkosz, odnosząc się zasadniczo życzliwie do dążeń uporządkowania stanu sanitarnego miasta, domagał się życiowego traktowania sprawy w okresie kryzysu, zwłaszcza **w stosunku do właściciel. małych domków na przedmieściach.** Uchwalono poprawki, zmierzające do ustalenia opłat kanalizacyjnych procentowo w stosunku do kosztów budowy domu.

Wreszcie odczytano wniosek nagły klubu socjalistycznego w sprawie przywrócenia robotnikom elektrowni prawa do bezpłatnego prądu, dalej nasz wniosek nagły w sprawie przejęcia zbankrutowanego szpitala żydowskiego w administrację miasta i wniosek w sprawie uporządkowania ulicy Lwowskiej i wogóle Grabówki. Na tem posiedzenie zakończono.

Upłynęło ono znowu pod znakiem **całkowitej przewagi moralnej i intelektualnej klubu socjalistycznego,** który energicznie i odważnie spełnia swoje zadania.

FUNDUSZ PRACY

Nareszcie rozpoczął swą działalność Fundusz Pracy. Dnia 21 b. m. bezrobotni otrzymali pomoc żywnościową na święta. Ale jaką?

Samotni dostali po 1 kg. mąki, 25 dkg. cukru i 25 dkg. słoniny.

Małe rodziny po 2 kg. mąki, 50 dkg. cukru i 50 dkg. słoniny.

Duże rodziny po 3 kg. mąki, 75 dkg. cukru i 1 kg. słoniny.

Tyle było całej łaski Funduszu Pracy.

Z SĄDU PRACY.

Przez szereg dni bieżącego tygodnia toczył się w Sądzie pracy w Tarnowie proces 50-kilku robotników przeciwko gminie miasta Tarnowa o odszkodowania za bezprawne zwolnienie z pracy po strajku.

Na ostatniej rozprawie, gdy miano przystąpić do przesłuchania pozwanej gminy, z której ramienia chodził zawsze na rozprawy Dr. Silbiger, wiceprezydent miasta, znany z N. N. pozycyj w kahale i afery kuszkowej w rzeźni miejskiej, — okazało się, iż na tę właśnie rozprawę dr. Silbiger, korzystając z tego, że Sąd go na nią formalnie nie wezwał, nie stawił się, skutkiem czego rozprawa została znowu odroczona na dzień 28 grudnia b. r.

Robotnicy zapiszą sobie to postępowanie dra Silbigera na konto jego rozlicznych win.

WARUNKI PRENUMERATY: w Krakowie z odnoszeniem miesięcznie zł. 3.50, na prowincji miesięcznie zł. 3.50, zagranicą zł. 6.—. Za zmianę adresu 50 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Za wiersz wysokości 1 milimetra w tekście gr. 50, zwyczajne gr. 20, nekrologi do 60 mm. gr. 20, powyżej 60 mm. gr. 30, drobne za wyraz 20 gr. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy bezpłatne. Ogłoszenia tabelaryczne o 50 proc. drożej. Układ ogłoszeń w tekście 5-cio szpaltowy, układ zwyczajnych 10-cio szpaltowy. Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada.

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW NIEMYSKI Wydawca: RADA NACZELNA P. P. S.

Odbito w drukarni Sp. Nakładowo-Wydawniczej „Robotnik", Warszawa, Warecka 7.